Nr. 1.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XX.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1914.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **7 Koron (Mk)**; dla Ameryki **8 Koron.**

Uprasza się o łaskawe uiszczenie prenumeraty zalegającej za rok 1913, oraz o przedpłatę na rok 1914, pod adresem: Redakcya »Roczników Zgromadzenia« — Kraków, Stradom 4.

Redakcya uprasza najuprzejmiej Czcigodnych Księży Superyorów oraz Czcig. SS. Przełożone o łaskawe nadsyłanie sprawozdań o pracy i stanie powierzonych im domów i dzieł, w myśl statutów ułożonych przy zakładaniu naszego kwartalnika oraz stosownie do „Słowa wstępnego“, zamieszczonego w pierwszym zeszycie tychże „Roczników“ (1895 r.).

Załączamy też gorącą prośbę o pisanie nekrologów naszych Zmarłych.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XX.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1914.

Drukarnia Związkowa w Krakowie pod zarządem A. Szyjewskiego.

Wspomnienia z wojny bałkańskiej.

Wyjątki z listów Sióstr z prowincyi chełmińskiej, wysłanych dla pielęgnowania rannych w Konstantynopolu, i z kilku innych.

Podczas gdy echo: „Wojna w Turcyi!“ rozbrzmiewało z jednego na drugi kraniec Europy, a ludność zadawała sobie pytanie: „Jaki będzie jej koniec? Kto zwycięży?“ — Siostry nasze, prosząc Boga o oddalenie tej klęski, a zarazem o nawrócenie dla niewiernych, również zapytywały się wzajemnie: „Jaki koniec wezmą wypadki?“ Wtem niespodzianie, drogą telegraficzną, zażądała Najprzewielebniejsza Matka Generalna dwóch Sióstr z prowincyi Chełmińskiej dla pielęgnowania rannych w Konstantynopolu. Jakby iskra elektryczna przebiegło serca Sióstr pytanie: „Kto pojedzie? Kogo wybiorą?“ Najczcigodniejsza Siostra Wizytatorka w kilku prawie minutach, pod natchnieniem Bożem, wybrała dwie Siostry, bardzo odpowiednie i uzdolnione do tej misyi, które jako posłuszne dzieci, nie namyślając się, złożyły Bogu w ofierze serce i życie i w kilku godzinach ochoczo stanęły gotowe do drogi! Serdecznie żegnane, z błogosławieństwem Przełożonych, ufne w pomoc Pana Jezusa i Maryi Niepokalanej, pod strażą św. Józefa i św. Wincentego puściły się w daleką drogę dnia 31. października 1912. roku. Modły całej Prowincyi towarzyszyły ukochanym misyonarkom. Pociąg pospieszny zawiózł je wieczorem do Wiednia. Odtąd nasze podróżne przesyłały listownie wiadomości o wypadkach i grozie wojennej — dzisiaj już wszystkim znanych.

* * *

List śp. Siostry Marty Frobel do Najczcigodniejszej Siostry Wizytatorki Giersberg w Chełmnie.

Wiedeń, dnia 1. listopada 1912. r.

Wczoraj o 10-tej wieczorem przybyłyśmy szczęśliwie do Wiednia, gdzie nas bardzo serdecznie przyjęto. Po dłuższym nieco spoczynku wysłuchałyśmy mszy św. o godzinie 8-mej; msza św. była z asystą i kazaniem, bardzo uroczyście. O 9-tej nadjechały Siostry francuskie, dla których odbyła się jeszcze jedna msza św. później, na wyraźne życzenie Najprzewielebniejszych Przełożonych naszych z Paryża. Sióstr francuskich przybyło 8, tylko 2 młodsze, drugie starsze; trzy rozumieją dobrze po niemiecku; jedna rodem z nad Renu, wiele pracowała na misyach, cztery lata była na wojnie chińskiej. Wszystkie te Siostry bardzo miluchne. Najprzewielebniejsza Matka raczyła i o nas pamiętać, czem jesteśmy niezmiernie ucieszone. Przysłała nam przez Siostry miłe pamiąteczki, jako to naczynia do wody św., medaliki, figurki Matki Boskiej i nieco kropli benedyktyńskich (pewnie od cholery). Jak to miło pomyśleć, że tyle serc szlachetnych o nas się troszczy i będzie prosiło Boga za nami. Czigodna Siostra Poplińska także bardzo serdeczny przesłała liścik. Jutro rano, da Bóg, o godz. 7½ wyjedziemy stąd przez Budapeszt, Bukareszt, do Konstancyi; na Morzu Czarnem przepędzimy 12 godzin. W Bukareszcie przyłączą się do nas Siostry austryackie i węgierskie. Siostry z Paryża mają paszport, wydany przez prezydenta francuskiego i przez konsula tureckiego w Paryżu wizowany, dla pewniejszego przebycia granic tureckich. Sułtan zażądał od prezydenta Francyi 100 Sióstr naszych do pielęgnowania rannych. Wyraźnie prosi o „dziewice ślubujące Jezusowi i Maryi“, bo do tureckich niewiast nie ma zaufania — oto mahometanin, a jak wysoko ceni nasze święte zobowiązania. Jesteśmy zdrowe i wesołe, ufamy, że nam Bóg pomocy nie odmówi i nadal, a o święte modlitwy bardzo i bardzo prosimy i na nie liczymy. Raz jeszcze dziękując za

tę wielką wyświadczoną nam łaskę, zostajemy z wyrazami najgłębszego szacunku i t. d.

P. S. Co dopiero byłyśmy u naszych Czcigodnych Księży Misyonarzy. Mówiono, że Turkom źle się powodzi, Bułgarzy odnieśli wielkie zwycięstwo. Z Konstancyi znów napiszę, jeżeli się uda.

W pociągu z Predealu do Bukaresztu, dnia 3 listopada 1912. r.

Wczoraj około 8-mej rano wybrałyśmy się w dalszą drogę. Czcig. S. Służebna i jej towarzyszka bez wytchnienia zajmowały się nami tak długo, aż nas wygodnie umieściły w wagonie. Na dworcu wiedeńskim spotkałyśmy 10 Sióstr Sercanek i OO. Redemptorystów z lekarzem wojskowym, wybierających się dla pielęgnowania rannych Serbów. O godz. 9-tej pociąg ruszył i przywiózł nas szczęśliwie do Budy, stolicy węgierskiej, około 2-giej popołudniu. Na dworcu oczekiwała nas sama Najczcig. S. Wizytatorka z Siostrami, uczęstowała nas obiadem z domu zabranym. Tamże przyłączyły się do nas 2 Siostry węgierskie, obie rodem ze Ślązka, jedna z Piekar, druga z Wielkich Strzelc. Mówią dobrze po węgiersku. Po krótkim wypoczynku ruszyłyśmy dalej. Podróż bardzo miła i interesująca dla pięknych krajobrazów, które jednak wkrótce zasłoniła noc. Chciałyśmy nieco spocząć. Noc jednak była bardzo męcząca; było nas sześć w przedziale; ucieszyłyśmy się bardzo, gdy nad ranem nieco ostry prąd powietrza zawiadomił nas, że jesteśmy już w Siedmiogrodzie, w Karpatach, okrytych płaszczem śnieżystym. Powoli wszystko się ożywiło, około 7-mej rano stanęłyśmy na granicy Rumunii w Predealu. Natura tu wprost cudownie piękna; te nagie ściany skaliste, te wiecznie zieleniejące szczyty gór z szumiącymi wodospadami, wśród tego idylliczne domki i wille, ciągle zmieniają zachwycający krajobraz. Tu i ówdzie mieszkańcy w narodowych strojach. Oko nie może się nasycić tą pięknością, a serce wznosi się do Boga z wdzięcznością za tyle cudów w przyrodzie. Ale co to? Panika! W jednej wsi rumuńskiej szyny kolejowe nie w porządku, a tu nagle ukazuje się na

linii pociąg towarowy — i gdyby nie przytomność maszynisty naszego pociągu, byłoby nastąpiło zderzenie i nieszczęście gotowe. Wśród drogi przyłączyli się do nas także Turcy w swoich wysokich czerwonych czapkach; Rumuni łączą się z Turkami, a nas pytają, dokąd jedziemy i kogo pielęgnować będziemy? — „Wszystkich bez wyjątku, którzy pomocy potrzebować będą“ — odpowiadamy.

Dzisiaj niedziela, zaraz południe, a my jeszcze bez Mszy św., ale zaraz staniemy w Bukareszcie i ufamy, że Mszy św. wysłuchamy; podobno Najprzew. Przełożeni nasi z Paryża telegraficznie Mszę św. dla nas zamówić raczyli. Co to za dobrodziejstwo! jaka łaska, o! jak Bóg dobry dla swych dzieci. W Bukareszcie mamy 8 godzin czasu, cieszymy się, że Najczcigodniejszej Siostrze Wizytatorce te kilka słów prześlemy przez nasze Siostry.

Deo gratias! Jesteśmy w Bukareszcie. Siostry już na nas czekały na dworcu, samochodami zabrały nas do siebie, gdzie o godz. 1-szej jakiś Czcig. O. Kapucyn mszę św. dla nas odprawił. Dom tutejszy czyni wrażenie bardzo ubożuchnego, ale Siostry serdeczne i wesołe. Siostra Służebna włoszka, bardzo miła i nadzwyczaj serdeczna. Po obiedzie sam Najprzew. Ks. Biskup chciał nas odwiedzić i błogosławieństwa udzielić. Łaski Boże wielkie i liczne, obyśmy im godnie odpowiedziały! Prosimy Najczcigodniejszą Siostrę Wizytatorkę i wszystkie Siostry drogie o modlitwy gorące na naszą intencyę. Walka wojenna posuwa się ku Konstantynopolowi. O godz. 5-tej stąd wyjedziemy, o 9-tej staniemy w Konstancyi, o 11-tej w nocy puścimy się na Morze Czarne. Wieści wojenne zewsząd przerażające; jeśli Konstantynopol oblegą, wszystko zginie. Wczoraj podobno mordowano chrześcijan; ale dla Sióstr są Turcy dobrze usposobieni. Jesteśmy zdrowe i odważne, bo Bóg z nami.

Na pokładzie okrętu „Princesse Marie“, dnia 4. listopada 1912. r.

Zbliżamy się do celu podróży. Wczoraj o godz. 11½ w nocy pociąg stanął w Konstancyi. Dużo było kłopotu z pa-

kunkami, aby to wszystko zabrać na okręt, ale jakoś poszło szczęśliwie. Rozejrzawszy się w kajutach dla nas przeznaczonych, wypiłyśmy nieco herbaty, a potem marsz na pokład, gdzie zaśpiewałyśmy głośno i wesoło, a serdecznie: *Ave maris stella* i trzy razy *O Marie, conçue sans péché!* (O Maryo, bez grzechu poczęta!). Poleciwszy się Panu Bogu i Matce Najśw., zeszłyśmy do kajut, gdzie zasnęłyśmy, ulegając zmęczeniu, przy miarowem kołysaniu się okrętu, jakby wtórowaniu cichej muzyki, i spoczywałyśmy do godz. $6 \frac{1}{2}$ rano. Spieszymy potem na pokład, by odmówić pacierze, a o 8-mej na śniadanie. Był też już czas, bo niektóre z naszych Sióstr czuły się osłabione i cierpiące; tylko my Polki trzymamy się rzeźko. Około godz. 1-szej mamy wpłynąć do Konstantynopola. Okręt dosłownie szczelnie wypełniony, mianowicie dolny pokład. Turcy, dzieci, kobiety, Niemcy, Francuzi, nawet sam basza ze swoją świtą; dużo osób innych jeszcze narodowości, wszystko spieszy: jedni za interesami, inni może z ciekawości spieszą na plac boju; jakiś generał niemiecki z żoną, zdaje mi się, nie bez pewnego planu. Z Berlina trzech lekarzy i trzech tragarzy z *Sanitas Colony*. Wszyscy nas zaczepiają ciekawie, po co my tam jedziemy? Pewien kandydat medycyny, Prusak z Królewca, bardzo się ucieszył, że spotkał Siostry, także z Prus Zachodnich pochodzące. Wreszcie z oddali spostrzegamy Konstantynopol w uzbrojeniu wojennem, otoczony okrętami, torpedowcami; co czyni jakieś dziwne, nieprzeparte wrażenie. Dziękujemy Panu Bogu za wszechmocną Jego nad nami opiekę, odczuwamy duchem i sercem pomoc modlitw naszych ukochanych Sióstr w Chełmnie. Coraz piękniejsze krajobrazy przesuwają się przed nami, nie długo przecież cieszyć się możemy miłem ich wrażeniem, bo groza wojny i przestrach maluje się na fizyonomiach współpodróżnych; usposobienie ogólne jest przygnębiające. Oby Pan Bóg raczył skrócić dni doświadczenia. Wjeżdżamy do przystani; zdala już widzimy kornety oczekujących nas na brzegu Sióstr. Jesteśmy już w domu Sióstr, ale chcę jeszcze dokończyć opisu podróży, bo później nie będzie

czasu. Im bliżej portu, tem większy lament, gwar, pośpiech, hałas. Na morzu piętrzą się torpedowce, okręty wojenne z załogą w pełni, moc nieprzejrzana turków na łodziach, ścisk, krzyk, zamęt nie do opisania; nie można się wydostać z ciżby, ten krótki tu pobyt w tej chwili daleko więcej męczy, niż cała podróż. Ale oto się zbliża Najczcig. Ks. Wizytator Lobry, by nas powitać na okręcie; Najczcig. Siostra Wizytatorka zajmuje się naszemi rzeczami, a i my same zdrowe i silne, wydostawszy się szczęśliwie z tłoku i portu, przeszedłszy kilka brudnych ulic, znalazłyśmy się w domu centralnym. Jutro, da Bóg doczekać, pójdziemy do lazaretów: Najczcig. Siostra Wizytatorka już nas pouczyła, jak się zabrać do pracy; a zarazem zaleciła nie lękać się, skoro w nocy usłyszymy huk armat, bo nieprzyjaciel bardzo szybko posuwa się pod miasto. Dzisiaj jeszcze zobaczymy Najczcig. Ojca Dyrektora.

Zostajemy z wyrazami najgłębszego szacunku i t. d.

S. Frobel
n. c. m. s. u. ch.

* * *

List S. Wizytatorki Guerlin z Konstantynopola do Najczcig. S. Wizytatorki Giersberg w Chełmnie.

Konstantynopol, dnia 12. listopada 1912. r.

Na życzenie Najprzew. Matki przysłała nam Droga Siostra dwie Siostry do dyspozycyi w ambulansach. Dziękuję za nie jak najserdeczniej. Kochane te Siostry już Wam donosiły o przebiegu podróży i szczęśliwem dotąd przybyciu, lecz od tego dnia pewnie już wolnej chwili nie znalazły, aby coś o sobie donieść. Wyręczam je przeto dzisiaj i donoszę Siostrze Drogiej z żalem, że S. Frobel nazajutrz po przybyciu dotąd musiała się położyć. Ujrzawszy ją na pokładzie dziwnie bladą, sądziłam, że to skutkiem morskiej choroby, niczego się przeto nie obawiałam. Ale skoro gorączka podniosła się odrazu aż do 40 stopni, przywołałam lekarza; tem więcej, że ona sama sądzi, że to będzie tyfus, ponieważ przed podróżą kilka tygodni pielęgnowała tyfusowych; może być, że

się zaraziła. W sobotę znów ją lekarz odwiedził i życzył sobie, aby chorą przenieść do szpitala, w którym ordynuje, a dokąd nasze chore Siostry zwykle odsyłamy. Dzisiaj Siostra Służebna tego szpitala donosi mi, że stan chorej pogorszył się, a sama chora prosi o opatrzenie św. Sakramentami. Moja Najdroższa Siostro, zamiary Boże nieprzeniknione. Zapewne S. Frobel, która się tak chętnie poświęciła pielęgnowaniu rannych, ma udział w zasługach tych, które osobiście rannym służą. Siostra J. Gabryela (imię to dano S. Józefie Dolacie), jej towarzyszka, zawiozła ją do szpitala, gdzie na szczęście znajduje się S. Porsch, niemka; w ten sposób Wasze kochane Siostry mniej odczują obczyznę, mogąc się przynajmniej porozumieć ze sobą po niemiecku. Gorąca modlitwa zdolna jest przeniknąć Serce P. Jezusa; chociaż stan chorej groźny, nie tracimy przecież nadziei. Postaram się przesłać nieco świeżych wiadomości kuryerem czwartkowym. Dla rozruchów wojennych przewożą listy okrętem przez Morze Czarne do Konstancyi, ale tylko 3 razy w tygodniu.

Łącząc się w modlitwie u stóp krzyża, zostaję moja Czcigodna Siostro w Sercach Jezusa i Maryi Niepokalanej

pokorna i oddana

S. Guerlin.

Wyjątek z dopisku Siostry Kelly, Irlandki, posłanej z Siostrami fracuskiemi dla pielęgnowania rannych do Konstantynopola.

Powracając z odwiedzin kochanej naszej chorej, poszłyśmy powiedzieć Czcig. Ks. Wizytatorowi, że lekarz uznał widoczne już niebezpieczeństwo, pospieszył zatem udzielić jej ostatniego Olejem św. Namaszczenia. Jesteśmy wszystkie zmartwione, gdyż pokochałyśmy ją bardzo. Będę miała szczęście czuwania przy niej dzisiejszej nocy i otoczę ją jak największą troskliwością, bo bardzo mi są drodzy Polacy, prześladowani tak jak nasza biedna Irlandya. Chora nie cierpi już, uśmiecha się, straciła przytomność, przykładają jej ciągle lód na głowę.

List S. Wizytatorki Guerlin do S. Wizytatorki Giersberg.

Konstantynopol, dnia 13. listopada 1912. r.

List mój wczorajszy jeszcze nie doszedł rąk Waszych, a dzisiaj donoszę z sercem bólem ściśnionem, że ofiara dokonała się! Nasza kochana S. Frobel dzisiaj rano oddała ducha Bogu. Choroba postępowała gwałtownie; do febry tyfoidalnej przyłączyło się zapalenie mózgu; pomimo starań, jakiemi otoczyliśmy kochaną chorą, zło nie dało się usunąć. Zamiarów Bożych ani pojąć ani badać nie możemy, nie pozostaje nam nic, jak tylko z miłością poddać się świętej woli Boga i zawołać: *fiat!* Widocznie ostatniego brakło kwiateczka do gotowej już korony, skoro Was opuściła, aby tutaj z radością poświęcić się pielęgnowaniu chorych i rannych. Dobry Pan zapewne mile ją przyjął! Spocznie w grobowcu siostrzeńskim obok niedawno zmarłej siostry, także Polki. Ukochana zmarła będzie mieć udział w modlitwach całej naszej Prowincyi i w *Memento* naszych Cz. XX. Misyonarzy.

Polecając się w szczególności modłom Waszym, zostaję u stóp krzyża Waszą pokorną i oddaną

S. Guerlin.

* * *

Kochana nasza Siostra J. Gabryela przysłała nam szczegóły pogrzebu ś. p. S. Frobel, który się odbył tego samego dnia popołudniu bardzo wspaniale. Skoro tylko Bogu ducha oddała, zaraz ją ubrano i włożono do trumny czarnej z srebrnym krzyżem. Około godz. $3^1/_2$ popołudniu sześć Sióstr wyniosło trumnę, a drugie ze świecami towarzyszyły aż do drzwi domu, gdzie już czekał karawan. Czcig. Ks. Misyonarz pokropił święconą wodą trumnę, poczem wsunięto ją do środka karawanu. Czcig. Ks. Misyonarz usiadł obok stangreta i ruszono do Domu Centralnego. Tutaj już oczekiwali XX. Misyonarze i nasze Siostry z Najczcig. S. Wizytatorką. Wyjęto trumnę, ustawiono na przygotowanych noszach, poczem osłonięto całą czarnym pokrowcem; cztery Siostry niosły

jego końce, ozdobione srebrnymi kutasami. Zaintonowano psalm i pochód ruszył do poblizkiej kaplicy XX. Misyonarzy, gdzie po umieszczeniu trumny na katafalku odśpiewano żałobne hymny i zniesiono ją do podziemia, w którem znajduje się grobowiec Sióstr; tam odbyły się ceremonie, jak zwykle przy pogrzebie. Nazajutrz odprawiono w kościele XX. Misyonarzy uroczyste nabożeństwo żałobne za ukochaną zmarłą. Po odśpiewaniu wigilii Najczcig. Ks. Wizytator odprawił uroczystą mszę żałobną z asystą. Na chórze śpiewali XX. Misyonarze, a na dole odpowiadały im pięknie wyuczone sieroty zakładowe. Śpiew był piękny i serca do głębi poruszył. Oprócz XX. Misyonarzy i Sióstr naszych wzięli udział w tej ceremonii liczni przedstawiciele różnych zakonów i świeckich stowarzyszeń. Byli Księża Dominikanie, Franciszkanie, jakoteż i Siostry tych Zakonów, panowie z „Czerwonego Krzyża“, *Caritas*, byli greccy katolicy i inni, których nie znam. Po nabożeństwie ci ostatni wyrazili swe współczucie Najczcig. Siostrze Wizytatorce. Jeden jeszcze powód więcej, aby coraz serdeczniej ukochać Zgromadzenie i być mu wdzięczną za tyle serca i opieki, okazywanej w życiu i po śmierci.

Łatwo pojąć, co się działo w duszy i sercu pozostałej towarzyszki, gdy tę, z którą razem przybyła pracować do Turcyi, złożyła Bogu w ofierze zaraz na wstępie. Wsparta łaską z nieba, tyle siły jeszcze znalazła, aby w tej właśnie chwili, gdy serce drżało z bólu, powtórzyć słowa: „Miej uśmiech na ustach, choćby ci powoli pękało serce wśród bólu bez granic“ i t. d., a poddając się Najświętszej woli Bożej, zabrała się do pracy. Wkrótce potem zastępowała w szpitalu *Geremia* Siostrę, wysłaną do ambulansu, gdzie później i jej danem było poświęcić się usłudze rannych aż do maja 1913. — Przytaczamy tu dalej wyjątki z jej listów.

W listopadzie 1912.

Konstantynopol w wielkiem zamieszaniu. O dwa kilometry stoczono straszną bitwę, w której poległo dużo Turków. Chociaż przed mieszkańcami tają złe wieści, mimo to

przerażenie przechodzi wszelkie pojęcie. Turcy oczekują nieprzyjaciela w samej stolicy, ponieważ z niesłychaną szybkością posuwa się ku nam, ale równocześnie odgrażają, że Konstantynopol spalą raczej, a nie oddadzą giaurom. Anglia, Francya, Niemcy już przysłały swoje okręty z załogą zbrojną pod Konstantynopol, aby w razie wybuchu ratować swych poddanych. Nadto Francya tak nas wzięła w opiekę, że co noc 60 żołnierzy zbrojnych czuwa przy ambulansach, a co 4 godziny się zmieniają. Tymczasem tysiące rannych przywożą w nocy i kładą na podłodze jak słomę, aby nie przerażać ludności. Tramwaje konne stanęły, bo i te biedne konie zabrano na wojnę. Trudno sobie wyobrazić nędzę, jaka tu panuje obecnie, a jeszcze trudniej opisać ją. Samo miasto piękne, ale mieszkańcy obdarci, podobni raczej do żebraków niż do obywateli; nieporządek straszny, naprawdę turecki; powietrze, skutkiem nieczystości wyrzuconych na ulicę, okropne! Żołnierze, pożal się Boże! boso, obdarci, wynędzniali z głodu, ledwie się wloką. Przejeżdżało tu około 400 kawalerzystów, jeźdźcy podobni do swych braci piechurów, a konie poranione i tak nędzne, zapewne z głodu, że to całe wojsko, to raczej cień wojska! I jak tu myśleć o zwycięstwie! Szczęście jeszcze, że dość ciepło — oby się Bóg zlitować raczył! Huk armat z początku nas przerażał, ale i do tego można się przyzwyczaić. Chodząc, odmawiamy po cichu: „Kto się w opiekę podda Panu swemu“ albo „Pod Twoją obronę“ — i pracuje się dalej. Często nas przerażają pożary w nocy, ale te powstają najczęściej skutkiem nieostrożności samych Turków, dziwnie bowiem są niezgrabni, jakby niedołężni. Taki pożar przeraża co prawda i żal biedaków, którzy z tego powodu popadną w większą nędzę, ale co za cudowny widok mamy tu z ambulansu, który umieszczony wysoko, jεkby na skale, a na pochyłości góry umieszczone domki, przeważnie drewniane, palą się jakby papierowe zabawki, miryady iskier, fruwając w powietrzu i rozpryskując się z sykiem, tworzą najwspanialsze bengalskie ognie. Olbrzymią szkołę wojskową zamieniono na ambulans, gdzie Siostry pie-

lęgnują 780 rannych. Biedni, straszny przedstawiają obraz: temu obie nogi kule urwały, tamtemu rękę i nogę; ten tu ma głowę prawie roztrzaskaną, inny oczy wypalone i tysiące innych ran. Trudno to opowiedzieć. Np. pewnemu oficerowi cały mózg wyszedł z czaszki, ten też zaraz zakończył życie. Jeszcze okropniejszy widok przedstawiają sale rannych: brudno i czarno od dymu; na niskich, czarnych tapczanach leżą ranni, okryci brudnym ciemnym welansem; Turcy ranni raczej do czarnych trupów podobni niż do ludzi żyjących; a papierosa trzyma w ustach biedak i kopci, aż go sama śmierć oswobodzi od tego narkotyzmu. Głowa posiekana, a na opatrunku turban musi być przymocowany, bo to podobno przykazanie Koranu. Ale z drugiej strony Turek ranny cichy, łagodny i potulny jak dziecko, a wdzięczny za samą obietnicę; ile to razy wołają: „masor, chleba“, „masor, herbaty“ i t. d. „Zaraz, zaraz“, ale niestety muszą często długo czekać, bo trudno takiej ilości spiesznie nastarczyć, nie dosyć bólu mają, jeszcze im głód dokucza. Biedni, bardzo skąpo żywności dostają; rano trochę herbaty i chlebek jak duża bułka, około 2-giej trochę obiadu, a o 8-mej wieczór kolacya, jakby we wielkim poście; nie dziw, że im się jeść chce. Oby się Bóg zmiłować raczył nad nami. Ale na wojnie, jak na wojnie! Mamy tu 2 lekarzy. Jeden Grek, bardzo dobry dla chorych, drugi, starszy Turek, ciągle hałasuje i krzyczy na chorych, to go też nie lubią.

Praca w ambulansach bardzo ciężka, na szczęście pozostali młodzi kadeci niżej lat 18 pomagają chorych przenosić, podnosić i t. d. Choć ta pomoc bardzo nędzna, zawsze jednak lepsza niż nic. W drugim podobnym ambulansie mają 1500 rannych, tam ordynują lekarze ze Szwecyi i cztery Krzyżanki, które razem z nimi przyjechały do pomocy przy operyacyach, a Siostry Miłosierdzia opatrują same na salach. W ambulansie austryackim, do którego przybyło 16 Sióstr z Wiednia, dokucza głód, porcye zwykle nie wystarczają dla zaspokojenia głodu; ranni, odzyskując zdrowie, mają zwykle dobry apetyt, którego niestety zaspokoić nie mogą. Serce

się ściska, patrząc na tę nędzę. Niektórzy silniejsi podnoszą się, siadają i tak we dwóch albo i trzech jedzą z jednej misy, a spieszą się, każdy chce jak najwięcej dla siebie. Tak samo posługacze: siadają na podłodze także w towarzystwie i zmiatają nędzną bardzo strawę; ale humor zastępuje często niejedną potrawę i deser.

W grudniu 1912.

Dowiadujemy się, że cholera wybuchła i sroży się wcale nie pomału. Na jednym z francuskich okrętów urządzają ambulans dla cholerycznych pod opieką Sióstr naszych. Oprócz pracy przy rannych i chorych, mamy jeszcze bardzo wiele roboty: bo na gwałt trzeba szyć bieliznę dla naszych rannych, tu nic nie mamy. Bardzo to trudno, kiedy od razu potrzeba kilka tysięcy koszul, prześcieradeł i t. p. Obecnie Turcy obchodzą jakieś święta, rano, wieczór i w nocy strzelają z armat na cześć Ałłacha, aż ziemia drży, a poprzednio mieliśmy tutaj lekkie trzęsienie ziemi bez groźniejszych następstw. Ufamy, że niebieskie oko nigdy nad nami czuwać nie przestanie! Coraz więcej ofiar przybywa; z wieczora sprzątniemy sale, ranni zasypiają, a rano z przerażeniem spotykamy na podłodze leżących biedaków, których w nocy przywieziono. Obok Turków leżą Arabowie, Bułgarzy, Grecy, Serbowie, wszystko teraz bracia. Przy każdej sali żołnierz na straży z nożem. „Na co ten nóż?“ pytam, a Turek, pokazując na gardło nożem, mówi: „Bułgar, Bułgar“! Jedna młoda siostrzyczka przy kuchni bardzo się boi i ciągle prosi Boga o zmiłowanie, a żołnierz turecki mówi do niej: „Niech się masor nie boi, bo jak Bułgarzy przyjdą, to ja masor leciutko zabiję, żeby jej Bułgar nie męczył!“ Śliczna pociecha, nieprawda? Czasami uśmiejemy się jakby na rekreacyi. Jak Turkom nieco lepiej, zaczynają opowiadać, pokazywać, jak to w Czataldży bomby padały, jak szumiało w powietrzu, jak oni padali i t. p. Pewnie też i wrodzone im lenistwo nie mało się przyczyniło do przegranej. Obok niedołęstwa są dosyć przebiegli. I tak, w pewnym lesie Bułgarzy obozo-

wali, Turcy podpalili las, Bułgarzy w nogi, a Turcy im tymczasem kilka armat zabrali i na nich wycelowali.

Koniec grudnia 1912.

Chorych na cholerę ciągle jeszcze przywożą, a i tyfus się pojawił; jedna z Sióstr austryackich padła także ofiarą tyfusu; dużo choruje z głodu. Pracy codzień więcej, ale dzięki Bogu, bo tutaj praca to jedyna pociecha. Serce wznosi się ku Bogu, a choć pot kroplami spływa, to dobrze, niema czasu tęsknić za swoimi, za ukochanymi, tam daleko. Ach! jak to się dziwnie inaczej wszystko odczuwa na obczyźnie, uczucia serdeczne potęgują się na samo wspomnienie. Święta Bożego Narodzenia minęły jako i inne dni robocze. Pasterka odbyła się cichutko w prześlicznie przybranej kaplicy. Ale o naszych pięknych zwyczajach, które tym prześlicznym uroczystościom jeszcze większego dodają uroku, tu nie mają pojęcia. Za to na ulicach dziwnie krzykliwe wyprawiają muzyki; wygrywają na przeróżnych instrumentach i po grecku śpiewają; to samo odbywa się także w dzień Nowego Roku, to podobno zabawa dla dzieci. Co kraj, to obyczaj!

W styczniu 1913.

Nowe okręty przywożą świeże ofiary z pola walki. Dwa parowce z uzbrojoną załogą zatonęły. Podobno Bułgarzy podwodne zakładają miny, których na powierzchni ani śladu, a za zbliżeniem się okrętu mina pęka, okręt ginie. Oj, biedni, bardzo oni biedni! Dwa inne parowce, wiozące około 2000 rannych, zatonęły również na Morzu Czarnem. Niektórzy utrzymują, że często rannych topią umyślnie. Widmo wojny przejmuje zgrozą na obrazach sławnych mistrzów, ale tutaj w rzeczywistości, to potwór nienasycony. „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Boże!“ wołamy słusznie; o, proście Boga za nami, aby się zmiłować raczył.

W tych dniach w Gallipoli zapalili Bułgarzy, a może Grecy, z aeroplanu koszary tureckie. Zapewne spuścili bombę, która swoje zrobiła, a oni pojechali dalej. Często tu widu-

jemy szybujące balony; mówią, że to wszystko nieprzyjacielskie. Nic zatem dziwnego, że biedni ci ludzie, nie znając P. Boga i nie pokładając w Nim ufności, z przerażenia chorują i prawie obłędu dostają.

W lutym 1913.

Niema jakoś końca z tą wojną, dzisiaj tak, jutro nie tak. Żeby sobie raz porządnie skórę wytrzepali, może byłby koniec. Młodoturcy nie chcą ustąpić, mrą z głodu, bo żywności do Adryanopola dowieźć nie mogą, ale zawsze jeszcze czegoś oczekują.

Język także nieraz wojnę toczy, bo to i Turcy, Bułgarzy, Grecy, Serbowie, Bośniacy; najłatwiej porozumieć się z Bułgarami; a największa trudność z greczyzną, np. to aroto ex, trendadex, dadex, aroto ex, dedax“ i t. p. ciągle w kółko to samo, a zawsze jednak co innego.

Przy pracy ani się spostrzegło, jak minął post kochany. Znów nadchodzą wielkie uroczystości. Czyż i te przeminą niepostrzeżenie, jak i tamte? Oprócz mszy św. nic więcej? Serce spieszy do kraju, do swoich drogich zwyczajów. Codziennie ponawiamy i składamy Bogu w ofierze życie i serce, lecz na ten dzień piękny wspólnej ofiary cieszę się niewymownie. Nic nie posiadam (bo i rzeczy wszystkie zaginęły w drodze), tylko te drobne codzienne ofiarki zbieram i przygotowuję z nich wiązankę dla P. Jezusa, a w duszę myślę: Tu w Bosforze zatopię wszystkie moje niedołęstwa, aby ich więcej nie wlec za sobą do domu!...

W marcu 1913.

Znów była bitwa, podobno 30.000 Turków poległo; niektórzy ranni nie chcą iść do naszych ambulansów, tylko każą się wieźć do tureckiego szpitala w Stambule, bo na chrześcijan patrzeć nie mogą, takiego do nich doznają wstrętu. Idąc na bitwę, chrześcijan w pierwszych stawiają szeregach, Ormian czy Bułgarów lub Greków, a skoro się walka rozpoczęła, sami pomagają mordować ich, z tyłu na

nich strzelając. Tak opowiadał pewien ranny Ormianin, który padł jak nieżywy, a po kilku dniach oprzytomniawszy, zaczołgał się do greckiego szpitala. Inny ranny, Turek, którego przechowała pewna niemiecka pani, twierdzi, że 12 dni leżeli w rowie, śniegiem zasypani, żywiąc się tylko liśćmi winnymi, aż ich wyratowano. Nikt sobie wyobrazić nie potrafi, ile ci biedacy wycierpią. Żaden malarz, żaden pisarz, choćby najzdolniejszy, nie przedstawi tej nędzy, na jaką codzień patrzeć musimy.

Zdobyto Adryanopol. Gazety pewnie więcej od nas szczegółów podały, bo tu wszystko tają. Słyszymy jednak huk armat z pod San Stefano. Czy przyjdą do Konstantynopola?! Łatwoby miasto wzięli w obecnym stanie, bo nędza, głód i przestrach ubezwładniają do reszty i tak już niedołężnych mieszkańców, a żołnierze i konie, to jakby kościotrupy na drucie do badań medycznych. Przywożą świeżo rannych; niektórych rzucają nad Bosfor i tam biedacy leżą tak długo, aż zgangrenowane członki same w wodzie odpadną. Na ulicach prawie nagie dzieci tulą się do murów, z głodu przerażone otwierają oczęta, raczej do widma niż do żyjących ludzi podobne. Psy i koty tworzą jakby żarłoczną armię, szukającą również pożywienia na ulicy. Powietrze odurzające przyprawia o zawrót głowy nie tylko słabych, ale i zdrowych. Czyż Pan Bóg długo jeszcze zmiłować się nad nami nie raczy? O, módlcie się za nami!

W kwietniu 1913.

Jestem bardzo szczęśliwą z moimi Turkami, bo to poczciwi i skromni ludzie, ale brudni i czarni, a ciągleby się w wodzie płukali, bo zdaje się, że mycie rąk należy do ich wiary czy przykazania. Chorzy dostają o godz. $10^1/_2$ trochę herbaty. Kto ma chleb, to go je, a kto go już zjadł, to nie ma nic i musi tylko samą herbatę pić. Około godz. 2-giej trochę obiadu i dwa chleby na kwasie pieczone. O godz. $7^1/_2$ kolacya. Sale chorych są bardzo wysokie i możnaby w nich zginąć; w każdej sali mieści się około 50 chorych. Przez

całą noc pali się gaz na korytarzach i w salach. Dzień i noc trąbią, zwykle co pół godziny, a o godz. 5-tej rano trąbią z całej siły, jakby na ogień. W ten sposób budzą uczniów szkoły wojskowej.

Jest nas tutaj teraz ośm Sióstr. Rannych obecnie już nie przywożą, lecz chcą nam przysyłać wewnętrznie chorych. Powietrze mamy tu bardzo piękne, dnie pogodne i świeżo już kwitnące kwiaty.

Sułtan przysłał swojego Achmeda Baszę, ażeby podziękował Najczcig. Ks. Wizytatorowi, oraz oświadczył wdzięczność tego monarchy za troskliwość i poświęcenie, z jakiem Siostry Miłosierdzia pielęgnowały chorych i rannych, prosząc zarazem, aby Sióstr nie odsyłać, ponieważ obawiają się, że nieprzyjaciel może jeszcze raz wtargnąć do kraju.

Właśnie była tu Najczcig. Siostra Wizytatorka i powiedziała nam, że zapewne pojedziemy; ale kto wie, czy się to jeszcze nie przewlecze. Turcy mają ogromną sympatyę dla Sióstr, a szczególniej dla Polaków.

— Pokój, pokój! o Boże, dzięki Ci stokrotne składamy. Koniec wojny! czy to tylko prawda?

Biedni ranni, tysiące na głębinie morza, tysiące na polach — mała tylko liczba uratowanych!

Czas szybko płynie, zbliża się piękny maj, srogości wojenne milkną, nadzieja pokoju wlewa otuchę w serca znękane. Wkrótce zabłyśnie jutrzenka różowa w sercach, stęsknionych za ukochanem Zgromadzeniem w rodzinnym kraju.

W maju 1913.

Nadeszła pożądana chwila powrotu do kraju. Wracamy w trójkę z Siostrami węgierskiemi, a Francuzki podążą w tydzień za nami. Wracamy zdrowe i szczęśliwie, chociaż nie obyło się bez przygód. Morze nam sprzyjało. Od Konstancyi do Bukaresztu, t. j. od godz. 6-tej rano do 1-szej w południe, takie było przepełnienie w wagonach, że tylko na korytarzu 2-giej klasy stałyśmy cichutko, bo się poruszyć żadną miarą nie można było. W Bukareszcie posiliłyśmy się

obiadem, a o 5-tej dalej do Predealu, gdzie pociąg stanął o 9-tej wieczorem. Dwie stacye za Predealem musiałyśmy wysiąść, koło od naszego wagonu się popsuło. O godz. 1-szej w nocy w drodze przystanek przymusowy trwał pół godziny; cztery woły smacznie spały na szynach i przejechaliśmy je; jeden z nich tak się wkręcił w koło, że z trudnością można go było wydobyć. O 7-mej rano pociąg zatrzymał się przez $3\frac{1}{2}$ godziny; o trzysta kroków przed nami zderzyły się dwa inne pociągi, lecz jedna tylko kobieta zraniła sobie rękę. Stanęliśmy wreszcie szczęśliwie w Budapeszcie, gdzie nas witano z radością. Pozostałam tam przez Zielone Świątki, potem w dalszą puściłam się drogę do Wiednia, stąd nazajutrz rano spieszę w strony ojczyste.

Serce lotem błyskawicy przebiega przestrzenie, wyprzedzając najszybciejsze elektryczne pociągi, aby u stóp ołtarzy Pańskich zawołać z radością i wdzięcznością: „Chwała Ci, Boże, na wysokości i dzięki Ci, o Panie, za wszystko! Za opiekę i pomoc w dniach doświadczenia. I Ty, Matko Niepokalana, racz przyjąć cześć i wdzięczność od Twych dzieci, które broniłaś wśród ucisku i niebezpieczeństw na tureckiej wojnie! A te, które padły ofiarą swego poświęcenia, racz wprowadzić do niebieskiej chwały!“

Wśród wychodźców naszych w Danii.

Latem b. r. otworzyło się dla nas nowe pole pracy misyjnej w ziemi skandynawskiej. Teren to w ścisłem słowa znaczeniu misyjny i należy pod względem prawno-kościelnym pod zarząd Kongregacyi *de propaganda fide,* która od czasów powstania swojego 1622 roku zajęła się misyą w nawskróś sprotestantyzowanych krajach północy. Zaraz na trzeciej sesyi zrobiono podział misyjnych terytoryów i to taki, że nuncyaturze w Brukseli przypadła w udziale Dania i Norwegia, polska nuncyatura dostała Szwecyę, a do nuncyatury kolońskiej przydzielono północne Niemcy. Dziś ten podział nie istnieje; od r. 1868 ustalił się inny:

Szwecya stanowi samodzielny wikaryat apostolski, na którego czele od 27 lat stoi biskup A. Bitter ze stolicą w Sztokholmie Liczy 10 stacyi misyjnych, 14 księży, 2 żeńskie zgromadzenia zakonne, 3100 wiernych. W lecie przebywa w Szwecyi 2500 polskich robotników sezonowych.

Norwegia była przez 23 lata (1869—1892) prefekturą tylko, ale od 1892 jest także wikaryatem apostolskim, a wikaryuszem X. biskup Jan Olaf Fallize, którego barwne opisy z doli i niedoli misyjnej w Norwegii tak dobrze są wszystkim znane z „Misyi katolickich". Jego wikaryat nieco wyższe wykazuje cyfry, bo ma 28 księży, 17 stacyi misyjnych, 23 kościołów i kaplic, 3 żeńskie zgromadzenia zakonne, 2700 wiernych. Niktby nie przypuszczał, że w Norwegii znajdzie Polaków; a jednak dowiedziałem się, że i tu są w liczbie 400—500. Lokajem nawet księdza biskupa stale jest Polak.

Również Dania w r. 1868 stała się prefekturą, a w r. 1892 wikaryatem apostolskim. Wikaryusz apostolski X. biskup Jan von Euch ma siedzibę w Kopenhadze i cieszyć się może daleko lepszem powodzeniem misyi niż biskupi szwedzki i norweski. Do niego bowiem należy 61 księży w 38 stacyach misyjnych, 39 kościołów i kaplic, 28 szkół katolickich, 5 zgromadzeń zakonnych męskich i 5 żeńskich (samych Sióstr św. Józefa jest w Danii 250), wiernych 11000. Z tych trzech wikaryatów apostolskich północnych Dania ma najwięcej Polaków, bo każdego roku przybywa ich tutaj 18—20000 [1]).

Norwegię z góry wykreśliłem z mojego planu pastoracyjnego; niemożliwą byłoby rzeczą odszukać tych paręset Polaków rozrzuconych po ogromnym obszarze 448000 kilometrów kwadr. Wchodziły więc w rachubę Szwecya i Dania. Odłożyłem sobie Szwecyę na później, a przedewszystkiem zająłem się Danią.

Musiałem najpierw dowiedzieć się, jak rozmieszczeni są Polacy, jakiej doznają opieki duszpasterskiej i gdzie są najbardziej opuszczeni.

Najwięcej polskich robotników jest na wyspach Loland i Falster. Żyzna tu ziemia, najżyzniejsza w całej Danii, dużo uprawia się buraków cukrowych. Wiadomą jest rzeczą, że

---

[1]) Liczbę Polaków w Danii zajętych mogłem naogół stwierdzać na podstawie urzędowych sprawozdań. Do takich należą: 1) co rok wydawane „Beretning fra Indenrigsministeriet — udenlandske Arbeidere“, a 2) „Directorium“ dla księży. To kościelne tamto rządowe. Jedno spisane na podstawie liczb podawanych przez księży do wikaryatu, drugie na podstawie statystyki, zbieranej przez t. zw. Herreds-Kontory, a wysyłanej do ministerstwa spraw wewnętrznych. Otóż „Directorium“ podaje na r. 1913 Polaków 14000, a „Beretning“ 12000. Nie można bezwzględnie polegać na tych dwu oficyalnych źródłach. Bezpośrednio stwierdzałem na miejscu zupełnie inne liczby: np. Aalborg według oficyalnych źródeł ma 400, tymczasem znalazłem ich 900; Aarhus oficyalnie 500, w pastoracyi miałem ich 1600, Bornholm oficyalnie 150, ja ich widziałem 500, Horsens oficyalnie 500, do mnie przyszło 800, a Kopenhadze przypisuje się 2850 katolików, nie wspominając ani słówkiem o Polakach; tymczasem w rzeczywistości jest ich tu 1500 do 1700.

koło buraków cukrowych ciągła jest robota i że wielu do niej potrzeba rąk roboczych. Skąd ich dostaną? Robotnik duński bardzo drogi — ale tam za morzem, na rozległych równinach polskich tyle rąk gotowych do roboty. Sprowadza się ich więc tysiącami. Tu też, na wyspie Loland, w mieście Maribo, stanął kościół dla Polaków, za polskie pieniądze wybudowany. Budował go X. Edward Ortved, który na całym obszarze ziem polskich gromadził pieniądze na tę budowę. Przybyli tu potem w jego miejsce OO. Franciszkanie z Krakowa, ale ci niezadługo ustąpili; teraz duszpasterstwem nad Polakami w Maribo zajmują się Franciszkanie z Holandyi i trzeba przyznać, że starają się, ile sił, pracować dla Polaków. Choć cudzoziemcy, ale uczą się języka polskiego i zawsze przynajmniej dwu z nich dobrze nim włada. W niedzielę każdą odprawia się suma polska z polskiem kazaniem w Maribo przez cały sezon, a po południu polskie nieszpory. Z całej okolicy gromadzą się tu Polacy w niedzielę: z Loland, z Möen, z Falster. Że jednak rzeczywiście są wielkie odległości, więc w ostatnim czasie zaczynają już OO. Franciszkanie stałe nabożeństwa odprawiać i na innych dwu punktach: w Nakskov i Nykjöbing.

Cokolwiek mniej sezonowych robotników jest na największej wyspie duńskiej, na Zelandyi. Na tej wyspie są 3 stacye ze stałą obsługą duszpasterską dla Polaków: 1) w Slagelse, gdzie Ojcowie Maryści z uznania godną gorliwością dbają o dobro duchowne polskich emigrantów, dawniej X. Knapen, dziś X. Huben; 2) w Roskilde, w St. Denis duńskiem, starożytnem, kiedyś stołecznem mieście z grobami królów duńskich średniowiecza i nowszych czasów; w Roskilde również zgromadzenie Marystów pracuje nad przywróceniem Bogu i Kościołowi tego, co reformacya zabrała, ale i Polacy z całej okolicy licznie się gromadzą w niedziele i święta, i zawsze znajdują sposobność do wysłuchania słowa Bożego, do przyjęcia Sakramentów św., wyspowiadania się w swoim języku; 3) w Kopenhadze samej, gdzie X. dr. Szymański, dawniejszy sekretarz biskupa wileńskiego X. Roppa,

sześcioletni okres banicyi swojej z Rosyi chce pożytecznie spędzić dla dobra emigracyi. Ma już kaplicę polską z regularnem nabożeństwem niedzielnem i świątecznem, ma i szkółkę dla polskich dzieci. Ale zadanie jego wcale nie łatwe, bo właśnie w Kopenhadze skupiły się najgorsze żywioły, szumowiny, które wyrzuciła z Królestwa Polskiego rewolucya socyalistyczna z r. 1905.

Na wyspie Fyn jest w Odense dwu Redemptorystów: O. Józef Dutschke i O. Henryk Deutscher, którzy władają dostatecznie językiem polskim i tak się urządzają, że jeden z nich podróżuje po wyspie, po tych dworach i wsiach, gdzie są Polacy, a drugi zostaje w miejscu, w Odense, aby być na usługi dla tych Polaków, którzy do miasta przybywają w dni świąteczne. O. Henryk Deutscher, niemiec austryacki, bardzo Polakom oddany, nazywa i podpisuje się stale swojem imieniem tylko, a nie nazwiskiem, bo to nazwisko jego nie budzi zaufania wychodźców.

Mają więc wyspy dotąd wymienione zapewnioną pastoracyę polską, ma ją Loland i Falster, ma Zelandya, ma Fyn; ale pozostaje jeszcze cała Jutlandya i wyspa Bornholm. W Jutlandyi są księża i kościoły, ale niema ani jednego księdza, któryby bodaj słówko po polsku rozumiał; a na wyspie Bornholm niema wcale kościołów ni księży katolickich. Toteż opuszczenie robotników naszych jest straszne. Na wyspie Bornholm 500 Polaków, w Jutlandyi 5000 [1]), rozrzuconych na obszarach 26000 km.^{2}, t. j. zaledwie o parę piędzi ziemi mniejszych od Księstwa Poznańskiego lub od Galicyi zachodniej aż po San.

Dawniej przybywał do Jutlandyi raz lub dwa razy rocznie Marysta, O. Knapen ze Slagelse, i odwiedzał ważniejsze środowiska polskich robotników. Ale umarł w kwietniu b. r., tak że Polacy i tej opieki doraźnej pozbawieni zostali.

---

[1]) „Directorium“ podaje tylko 2500, ale to zupełnie mylna data, jak zresztą już z tego wynika, co poprzednio powiedziałem o źródłach oficyalnych do statystyki naszego wychodźtwa.

Z całym zapałem, z zaparciem się siebie oddawał się X. Knapen pracy nad naszymi wychodźcami. Przed kilku laty przybył on z Holandyi do klasztoru OO. Marystów w Roskilde, a widząc ogromne opuszczenie robotników polskich zajął się nimi. Kilkakrotnie bawił w Księstwie Poznańskiem po parę tygodni w tym celu, aby się języka polskiego wyuczyć, i po latach wytrwałej pracy doszedł do takiej wprawy, że doskonale mógł się z wychodźcami porozumiewać, spowiadać ich i kazania prawić. A co jeszcze ważniejsze, rozumiał nie tylko język, ale i psychologię chłopa polskiego i z całem zamiłowaniem temu ludowi tułaczemu się oddawał, nie tylko w stacyi misyjnej w Slagelse, ale i przez kilka tygodni rocznie w Jutlandyi. Wiedzieli też wychodźcy dobrze, że kiedy tylko zapotrzebują pomocy X. Knapena, to choćby z drugiego końca Danii, choćby nocą, stawi się natychmiast. Tak pracował dla nich latami całemi, taką też była i ostatnia jego chwila. — Z wiosną ruszyły się fale wychodźcze. Kilkoro Polaków nie miało legitymacyi odpowiedniej. Na granicy ich wstrzymano. Nie chciano puścić do Danii, a na powrotną drogę pieniędzy nie mają. Co robić? W rozpaczliwem położeniu poratuje jedynie O. Knapen. Telegrafują do Slagelse. Nie zawiedli się. Chory był, silnie przeziębiony i rozgorączkowany. Ale odrazu się zrywa i nocą przyjeżdża do Gedser, na granicę. Załatwił formalności, przepuszczono ich. Ale była wśród nich szkarlatyna. Wskutek zaziębienia mniej odporny na choroby, sam się zaraził, ciężko zachorował, w 3 dni potem umarł. W gorączce majaczyło mu się o biednych wychodźcach polskich. Kiedy konał, nie żałował życia, ale żal mu było Polaków opuszczać. „Ach, biedni wy Polacy moi, co wy bezemnie teraz poczniecie?“ Z temi słowami na ustach skonał w 39 r. życia. — Wdzięczne wspomnienie mu się należy nietylko od tych, którzy bezpośrednio jego opieki doznali, ale od całego narodu za to, że kiedy na obczyźnie wszyscy polskiego robotnika poniewierają, kiedy o nich, braciach, krwi z krwi naszej i kości z kości naszej w kraju się zapomniało, on tak szczerze, tak gorąco się nimi zajął i cało-

paleniem się stał dla nich. Nie mogłem mieć wątpliwości; przedewszystkiem trzeba spieszyć na posterunek przez niego opuszczony! czemprędzej do Jutlandyi; bo jeżeli tam nie pójdę, to wcale księdza widzieć nie będą przez cały rok, to bez ofiary i bez kapłana pozostaną aż do powrotu do domu; a ci, którzy na stałe osiedli, aż do następnego roku i dłużej. Najbliższym więc okrętem „Cimbria" wybrałem się na noc przez Sund, przez Kattegat i Limfjord do Jutjandyi, do Aalborg.

Zahuczała syrena okrętowa, zakotłowała się, zapieniła woda, zadrżał okręt, Cimbria ruszyła z portu pięknej Kopenhagi. Choć to już godzina 9 wieczorem, ale jasno jeszcze, jak w biały dzień; zresztą to lipiec, więc i w nocy nie będzie zupełnych ciemności, tych czarnych, grubych ciemności z tysiącem błyszczących gwiazd na niebie, do jakich w naszej szerokości geograficznej przyzwyczajeni jesteśmy. Kopenhaga przecież już na 57^0 na północ wysunięta.

(C. d. n.).

X. W. Szymbor.

Chiny.

Wyjazd SS. Miłosierdzia ze szpitala powszechnego w Szangaju.

Już w lutym ubiegłego roku pisała S. Paulina Moniak o zamierzonem opuszczeniu szpitala powszechnego przez SS. Miłosierdzia, których miejsce zająć miały SS. Franciszkanki [1]). W ciągu roku 1913 przybyła część nowych pracownic, aby się wprawić do ciężkiej i żmudnej pracy. Dnia 10 września zaś przybyło ich jeszcze dwadzieścia pięć. Z początkiem października wszystkie SS. Miłosierdzia w liczbie 26 opuściły szpital, by rozprószyć się po różnych domach Zgromadzenia w Chinach i objąć inne pola pracy.

Ile tam dobrego Siostry zdziałały, jak wielką cieszyły się sympatyą, świadczy najlepiej żal, z jakim je żegnano w Szangaju. Podajemy poniżej charakterystyczny wyjątek z dziennika francuskiego wychodzącego w Szangaju, *Echo de Chine*, a nadto list Siostry Moniak, która w tym szpitalu spędziła lat trzynaście na posługiwaniu chorym.

* * *

Wychodzące w Szangaju *Echo de Chine* pisało dnia 10 września 1913 r.:

„Dziś o godzinie 9 zrana przybywa do nas z Francyi 25 Sióstr Franciszkanek, by objąć szpital powszechny, od lat pięćdziesięciu obsługiwany przez SS. Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo.

---

[1]) Por. *Roczniki* 1913, 2, str. 151.

„Pół wieku mija, odkąd podziwu godne SS. Miłosierdzia oddawać się zaczęły posłudze chorych z niestrudzonem poświęceniem. Przez lat pięćdziesiąt leczyły rany, koiły ból ludzki, z prostotą i wylaniem ponad wszelki podziw.

„Przed kilku dniami angielski kolega nasz z zawodu wyrażał w *N. C. Daily News* w pełnych wzruszenia słowach wdzięczność, jaką żywią dla nich cudzoziemcy zamieszkali w Szangaju. Któż zresztą z pośród nas nie doświadczył ich troskliwej opieki? Na ulicach Szangaju wszyscy patrzeli z szacunkiem na ich wielkie białe kornety. Wszyscy, bez różnicy wyznania, katolicy, protestanci czy żydzi, żywią dla tych świętych istot to szlachetne uczucie, jakie budzi wzniosły przykład.

„Białe te kornety tymczasem opuszczają nas; obowiązek świętego ich powołania wzywa je do służenia najbardziej opuszczonym, najbiedniejszym, czyli tam, gdzie czeka na nie więcej jeszcze trudów, ofiar i poświęcenia. Mimo szczupłej liczby, oddawały tu Siostry te znaczne usługi — dzisiaj odchodzą, ustępują miejsca innym...

„Wdzięczność i cześć im za tę pracę, natchnioną żywą wiarą, a tak głębokie, tak trwale zostawiającą ślady! Cześć za ich posłannictwo dobroci i miłosierdzia wśród nas! Odchodzą cicho i skromnie, odchodzą z uśmiechem na ustach, bo spełniły swe posłannictwo, odchodzą jak gdyby nie spostrzegając żalu, jaki zostawiają po sobie. Delikatne ich ręce opatrywały rany; ich uśmiech przywracał nadzieję; ich słowa pełne macierzyńskiej miłości uspokajały lękliwych i stęsknionych wśród cierpień za krajem ojczystym i drogiemi osobami. Wdzięczność i cześć im za to posłannictwo pokoju i ofiary...

„Z temsamem bez wątpienia zaparciem się siebie spełniać będą olbrzymie swe zadanie te, które przychodzą na ich miejsce. Ożywia je tasama wiara i tosamo poświęcenie niewiasty, co nie zna innej granicy nad zakres sił ludzkich. Witamy je z uszanowaniem, życząc im wśród cudzoziemskiej kolonii Szangaju tej samej przychylności i względów, tak ułatwiających zadanie jedno z najniewdzięczniejszych.

„Niech nam wszakże wolno będzie obok wdzięczności dla nich za ochocze podjęcie się tak uciążliwego posłannictwa, wdzięczności wszystkich, co korzystać będą z ich posług, zachować wdzięczne wspomnienie o tych, które nas opuszczają.

„Słyszeliśmy, jak ludzie różnej od nich wiary, jak ludzie nawet bez wiary wspominali o nich w słowach, których zapał i siła przekonania najpiękniejszą są nagrodą, jakiej od ludzi spodziewać się można.

„Kilka z nich pozostaje jeszcze u nas w szpitalu Najśw. Maryi Panny. Pociecha to dla mieszkańców Szangaju, że nie zniknęły jeszcze z pośród nas na zawsze.

„Przyjmowały one z równą troskliwością wszystkich cierpiących. Przeszły wpośród nas, dobrze czyniąc. Hołd im za to należy się tem większy, że w mieście, do którego tyle młodzieży zbiega się w pogoni za szczęściem, gdzie walka o byt i straszne ścieranie się różnolitych interesów, jest dla wielu najwyższem prawem, one, obojętne na zabiegi doczesne, za najwyższe szczęście poczytywały sobie nieść ulgę nędzy ludzkiej, schylać się do niej z dobrocią i współczuciem, dla jedynej tylko, wzniosłej i szlachetnej pobudki — dla służby Bożej!“

* * *

List S. Pauliny Moniak do Przew. Ks. Wizytatora, pisany na okręcie Teh Hsing, dnia 14 października 1913.

Nie mogę pominąć ważnej zmiany w mem życiu w Chinach, aby i Ojcu o tem nie dać obszerniejszego zawiadomienia. Po miesiącach, tygodniach, dniach oczekiwania, nadeszła nareszcie chwila, w której potrzeba było pożegnać dom i dzieło, w którem Siostry pracowały od pięćdziesięciu lat, a względnie każda z nas mniej lub więcej całe lata. Zakonnice Franciszkanki przybyły tu 10. września. Przebyłyśmy z niemi całe trzy tygodnie, aby je wprawić w ten nowy rodzaj pracy.

Potem rozpoczęła się ruchawka. Wiele Siòstr wysłano do Pekinu, a względnie do misyj północnych; inne zostały przeznaczone do nowych fundacyj: do Wenczow, do Paoting-

fu, do schroniska św. Józefa dla najbiedniejszych z biednych w Szangaju. Dom ten fundowały władze chińskie w Szangaju. Tworzy go, jak na początek, pięć ogromnych pawilonów zbudowanych z cegieł i kamieni dawnego starego muru otaczającego miasto chińskie. W miejsce tego starego muru obiegają miasto chińskie tramwaje elektryczne. Nowe to i wygodne, ale żal mi starych murów, które były wspaniałe. Robi to wrażenie, jakby dziś rozwalono Bramę Floryańską; ale Chińczyk nie ma miłości dla pamiątek przeszłości swej ojczyzny, kocha je o tyle, o ile przodkowie jego tem się posługiwali.

Schronisko objęły Siostry nasze dnia 15. września b. r. Posiada ono obecnie już 800 ubogich. Oddały je uroczyście władze chińskie. Są tam już wszystkie dzieła, począwszy od żłóbka, chorych, starców, aż do obłąkanych. Trzeba je rozwijać z bożą pomocą.

Mnie Opatrzność Boża posyła do Kiukiang, do mego dawnego domu. List ten piszę na okręcie, na którym się znajduję od trzech dni. Możeby tu dać kilka szczegółów o tej podróży, zwłaszcza że to nie na morzu, ale na wielkiej rzece Jangcekiang. Okręt się posuwa powoli jej korytem, często oba wybrzeża doskonale można obserwować. Zatrzymujemy się w znaczniejszych portach, i co nas zabawia, to Chińczycy, którzy nie czekając, aż okręt się zatrzyma, wskakują do okrętu ze znacznej odległości ze zręcznością małp. Inni poznosili różne rzeczy na sprzedaż. Co nas niezmiernie bawi, to że widzimy tu w koszykach żaby, ropuchy, żywe lub pieczone, owoce, ciastka, przysmaki, płótna i różne inne przedmioty. Wrzask tu i krzyk nie do opisania. Po godzinie lub dwóch wszystko wraca do spokoju i okręt odpływa po pięknych i wspaniałych falach rzeki Jangcekiang. Od soboty wieczór aż do jutra środy, to trochę długo, ale cóż robić? Na końcu tej drogi P. Bóg i święta Jego wola nas oczekuje. Badamy wioski po obu stronach wybrzeża, nie spotykamy tu kościoła, ale za to pagody pogańskie, począwszy od wielkich i wspaniałych aż do malutkich, czasem z kilku cegieł zbudo-

wanych — to na każdym prawie kroku spotykamy. Widać, że królestwo szatana jeszcze tu bardzo rozszerzone. Kiedyż nas Bóg wysłucha? kiedy tu krzyże się pomnożą?

Z główniejszych portów, to najpierw Hu-Hu, gdzieśmy chciały wylądować, aby przyjąć Komunię św., kościół bowiem znajduje się tuż przy wybrzeżu; ale z powodu świąt wyboru nowego prezydenta okręt tu przybył wieczorem o godz 9-tej. Nie miałyśmy nawet pociechy widzieć kościoła z powodu ciemności, myślą i sercem oddałyśmy P. Jezusowi cześć, czując Go tak blizko.

Inny port to Nankin, cały w gruzach po ostatnich walkach rewolucyjnych. Taki to świat. Dziś całe Chiny we krwi i wojnie wszczętej, aby się pozbyć tego, na którego cześć i z powodu wyborów tegoż 10. października b. r. uroczystości i iluminacye. Straszna to była rewolucya w Chinach. W Szangaju z blizka jej się przypatrywałam. Ileż nędzy, ile ruin, ile strat życia. Wszystko to wraca powoli do spokoju.

Oto nowy port Ngan-King. Prześliczna pagoda, a poza nią widnieje kościół katolicki, który się coraz bardziej wysuwa na widok. Pewnie Pan Jezus nas spostrzegł na pokładzie i błogosławił nam słodkiem „do widzenia“, bo jutro, to jest 15. października będziemy rano w Kiukiang, gdzie ze mszą i komunią św. na nas czekają. To uroczystość w Domu Centralnym, święto św. Jadwigi, myślą i ja tam znajdować się będę. Nganking jak Nankin także w ruinach, ale trochę odbudowany. Mury i fortyfikacye dobrze odrestaurowane. Widzimy tu jeszcze żołnierzy na wartach, jeszcze nie odwołani do Pekinu.

Jutro będziemy w Kiukiang. Nie nowość to dla mnie, te same dzieła i zapewne, te same krzyżyki i trudności, które tu pozostawiłam przed trzynastu laty. Ale to nic. Pomoc Boża jest zawsze tam, gdzie się spełnia świętą Jego wolę.

Polecam mą nową misyę św. modlitwom Czcig. Ojca.

Spotkałam tu w czasie rekolekcyi prokuratora z Ningpo, któremu powierzyłam troskę W. Ks. Domaradzkiego co do fundacyi, wysłanej z Krakowa na seminaryum w Ningpo.

Obiecał mi wkrótce napisać do Ks. Domaradzkiego, aby zdać sprawę z tejże fundacyi.

Załączam tu Najczcigod. Ojcu wycinek z gazety, podający opinię miasta Szangaj z powodu wyjazdu Sióstr ze szpitala. Wszystkie gazety były podobnymi artykułami przepełnione i chińskie i protestanckie. Sprawi to Ojcu pewnie przyjemność, bo to oddaje chwałę Bogu, Kościołowi św. i Zgromadzeniu [1]).

Seminaryum duchowne w Kiangsi.

(Cfr. *Annales* 1913, 3, str. 401—413.)

Dnia 14. października 1699 r. stanął na ziemi chińskiej pierwszy Misyonarz, ks. Ludwik Appiani, członek ekspedycyi misyjnej, wysłanej przez papieża Innocentego XII. w r. 1697. Miał on zleconą troskę o utworzenie seminaryum duchownego dla kształcenia kleru chińskiego. Usiłowania przezeń zapoczątkowane, przetrwały po dziś dzień i wydały obfite wyniki. Podamy tu kilka szczegółów o rozwoju seminaryum w Kiangsi aż do podziału tej prowincyi na trzy wikaryaty, a od r. 1886 o seminaryum w Kiangsi wschodniem.

Ksiangsi przed utworzeniem samoistnego wikaryatu apostolskiego.

W początkach wieku XVI. założono w Chinach trzy biskupie stolice, Makao, Nanking i Pekin. Kiangsi zależało od biskupa w Nanking. Wprawdzie w roku 1696, papież Innocenty XII. ustanowił wikaryat apostolski w prowincyi Kiangsi, powierzając jego zarząd O. Alwarezowi Benevente z zakonu OO. Augustyanów, ze śmiercią wszakże biskupa Benevente (1709) upada ten wikaryat z powodu niepokonanych trudności, napotkanych w pracy misyjnej, a Kiangsi wraz z prowincyą Czekiang przechodzi pod władzę wikaryatu apostolskiego w Fokien.

---

[1]) Urywek ten z gazety *Echo de Chine* podano wyżej.

Do S. Moniak adresować odtąd należy: **Kiukiang**, Hopitâl St. Vincent, **Kiangsi — Chine**.

W r. 1839. zaproponował ks. biskup Carpena Propagandzie, żeby prowincye Czekiang i Kiangsi oddano Zgromadzeniu XX. Misyonarzy. Na skutek tego został ks. biskup Rameaux wikaryuszem apostolskim, a w roku 1845. ks. Laribe jego następcą. W rok potem (1846) podzielono ten wikaryat na dwa, w Kiangsi pozostał biskup Laribe, rządy zaś w wikaryacie apostolskim Czekiang objął ks. biskup Levaissière. Aż do tego czasu nie można było w Chinach otworzyć seminaryum duchownego dla krajowców. Nieliczni europejscy kapłani musieli żyć w ukryciu. Na granicy wszakże państwa chińskiego, w Makao, należącem wtedy do Portugalii, otwarto w roku 1820. seminaryum dla kleryków chińskich. Wyszło zeń około dwunastu kapłanów, którzy potem pracowali nad chrześcijanami w prowincyi Kiangsi.

Seminaryum w Kiangsi (1849—1879).

Seminaryum w Makao zostało w r. 1845. zniesione i postanowiono, że każdy wikaryat ma mieć osobne seminaryum duchowne.

Krótko potem założył ks. biskup Laribe dla Kiangsi seminaryum w Sankiao, a kierownictwo jego objął ks. Anot. W r. 1848, gdy miejsce ks. Anot zajął ks. Bernard Peschaud, liczyło seminaryum 13 seminarzystów, a trzech z nich już $1\frac{1}{2}$ roku studyowało teologię. Jednak już w następnym roku musieli oni niestety seminaryum opuścić, a udać się do Czekiang, skąd byli rodem, na wezwanie tamtejszego biskupa.

Pod koniec roku 1851. pisał ks. Peschaud, tęskniąc od pewnego czasu za pracami misyjnemi, do ks. Salvayre, sekretarza generalnego: „Obecnie opuściłem seminaryum, którego pracom poświęcałem się przez 5 lat, a nawet i dłużej; dnia 23 grudnia pożegnałem się z moimi drogimi i kochającymi mnie wychowankami i z Twoim drogim kuzynem, który moje stanowisko tamże objął“.

Ten „kochany kuzyn“, ks. Montels, pisał ze swej strony do ks. Martin, dyrektora seminaryum w Paryżu: „Obfite owoce, jakie gorliwość ks. Peschaud wydała wśród większej

liczby seminarzystów, budzą pocieszające widoki i nadzieje na przyszłość. Byłem zdziwiony na widok gorliwości w zachowaniu regulaminu i punktualności w seminaryum prowincyi Kiangsi. Nie przypuszczałbym nigdy, żeby Chińczycy pod względem wykształcenia duchowego i życia wewnętrznego mogli zrobić tak zadziwiające postępy, jakie naocznie teraz widziałem. Jest dwunastu seminarzystów; jeden z nich jest na drugim roku teologii, trzej inni studyują filozofię; czterech innych tak dalece postąpiło w nauce języka łacińskiego, że będą mogli przejść w krótkim czasie na filozofię; ostatni czterej są na kursie przygotowawczym. Taka praca ma teraz przez pewien czas ciążyć na moich barkach. Chodzi tu o przygotowanie dzielnych misyonarzy, bo od tego zawisła prawie cała przyszłość naszych chrześcijan".

Ks. Montels wykładał teologię, filozofię i język łaciński, a sam uczył się równocześnie języka chińskiego. W prowadzeniu seminaryum pomagał mu chiński konfrater, ks. Ly, który w r. 1830. z kilkoma innymi był w Paryżu. Uczył on w seminaryum języka chińskiego.

W kilka miesięcy po tym liście, który był tak pełen nadziei na przyszłość, pisał ks. Montels dnia 25 marca 1852. r. w słowach mniej pełnych nadziei: „Od czasu, jak opuścił nas ks. Peschaud, wzrosła liczba seminarzystów; jednak bardzo się obawiam, że trzeba będzie kilku usunąć, gdy przybędzie wikaryusz apostolski. Módl się gorąco za naszymi seminarzystami w Chinach."

W październiku tego samego roku przybył nowo zamianowany wikaryusz apostolski prowincyi Kiangsi, ks. biskup Delaplace, do Sankiao, gdzie go przyjęto z serdeczną radością, bez wielkiej okazałości jednak, bo w kraju były zamieszki rewolucyjne.

Ostatnie te słowa są również wyjaśnieniem, dlaczego w dwa lata potem (1854) ks. biskup Danicourt, następca księdza Delaplace w Kiangsi, którego powołano do Czekiang, przeniósł seminaryum dla większego bezpieczeństwa na miejsce spokojniejsze, mianowicie do wioski Kiutu, oddalonej

o 3 godziny drogi od miasta Kiengczangfu. Ks. Montels, przybywszy zaledwo na to miejsce, zachorował i przebył w szpitalu cały rok. Po powrocie poświęcił się pracom misyonarskim. Dnia 26. czerwca 1857. r. ucięli mu rewolucyoniści głowę.

W r. 1856. objął kierownictwo nad seminaryum w Kiutu ks. Rouger, który przedtem był przez pewien czas profesorem w Saint Flour i w Aleksandryi. Seminaryum liczyło wówczas 8 uczniów, pobierających lekcye języka łacińskiego, czterech na filozofii i dwóch nowo wyświęconych księży chińskich, których uczono ceremonii mszy św. i udzielania sakramentów św.

Ks. Rouger objął kierownictwo w seminaryum w nader trudnych okolicznościach. Rewolucyoniści, zwani Taiping albo Czangmao (Długowłosi) spustoszyli całą prowincyę, a nawet i seminaryum kilka razy złupili, zostawiając tylko pustki. Nie mniej ucierpieli seminarzyści od wojsk rządowych, a często nawet musieli chronić się w góry, aby ujść rabunku i wzięcia przemocą do szeregów wojskowych.

Wobec takich ciągłych niepokojów pobyt dla wychowanków w seminaryum był niezbyt ponętny, mimoto jednak liczba ich w październiku 1862. r.wynosiła 24. Byli oni jednak po części jeszcze bardzo młodzi i swego powołania jeszcze nie zupełnie pewni.

Kiedy w r. 1865. po uśmierzeniu powstania wioska Kiutu była tylko kupą gruzów, a pojawił się znowu jakiś nowy ruch powstańczy, przeniesiono seminaryum do Kiukiang, bo tam stały na kotwicy wojenne okręty europejskie dla ochrony Europejczyków. W r. 1868. za ks. biskupa Baldus nastał po części spokój i dlatego znowu przeniesiono seminaryum do Tsitu, wioski niedaleko od Kiutu. Seminaryum to nazywało się od tego czasu „seminaryum św. Józefa".

Seminaryum w północnem Kiangsi (1879—1886).

W r. 1879. podzielono Kiangsi na dwa wikaryaty apostolskie, mianowicie na Kiangsi północne pod biskupem Bray i Kiangsi południowe pod biskupem Rouger. Ostatni miał

tę wielką pociechę, że wychował dla misyi w Kiangsi dziewięciu kapłanów. Po tym podziale chciał ks. biskup Bray mieć seminarzystów pod swoją bezpośrednią opieką i dlatego przeniósł seminaryum z Tsitu do Fuczeu; w gmachu dawnego seminaryum umieszczono aż do r. 1900. sieroty z Kiengczangfu.

W Fuczeu pozostało seminaryum aż do r. 1885., w którym część północnego Kiangsi odłączono i utworzono nowy wikaryat pod nazwą wschodniego Kiangsi.

Seminaryum we wschodniem Kiangsi (1886—1912).

Dnia 24. stycznia 1886. objął rządy w tym wikaryacie apostolskim ks. biskup Vic. Seminaryum istniało tam aż do r. 1890. Nagle zakradło się do niego jakiś złe usposobienie i dlatego wszystkich seminarzystów rozpuszczono; później zaś utworzono seminaryum z nowych wychowanków.

W r. 1891. złupiono Fuczeu i dlatego posłano wychowanków do Kingan i Ningpo.

W r. 1898 zaczął ks. Rameaux na nowo urządzać seminaryum z nowych wychowanków w Fuczeu. W r. 1899. podpalono Kueiki i Kiangpe. Ks. Dellieux, prefekt tamtejszego okręgu, uszedł pożogi i mordu, jaki urządzili buntownicy, schroniwszy się do Kiutu, gdzie odtąd pracował w seminaryum duchownem.

Rok 1900. przyniósł straszne rozruchy Bokserów. Złupiono i puszczono z dymem Kiutu, Tsitu i Kiengczangfu, Misyonarze musieli uciekać do Kiukiang i do Szangaju, a seminarzystów odesłano na pewien czas do rodziców.

W następnym roku znowu zgromadzono seminarzystów, przyczem tylko dwóch nie poszło za swojem powołaniem. Ks. Tomasz Lieu utworzył na nowo seminaryum z dwudziestu wychowanków.

Z następnym rokiem zaczęło seminaryum robić coraz to nowe postępy; w roku 1912. liczyło już 64 wychowanków, a liczba ta przez nowe przybycie z klas przygotowawczych miała wzróść aż do ośmdziesięciu.

O pracy w seminaryum pisał ks. biskup Tagliabue dnia 25. stycznia 1870. r. do Ojca Generała Etienne: „Seminaryum jest wszędzie dziełem najtrudniejszem. Charakter chiński zupełnie różny jest od europejskiego. Trzeba zupełnie zapomnieć o własnem usposobieniu, żeby zrozumieć wychowanków chińskich, którzy są wprawdzie bardzo dobrzy i mili, ale nadzwyczaj nieufni wobec obcych. Trzeba więc powoli te zarodki wyrugować, a w miejsce ich zasiewać nasienie wiary i miłości. O jak trudne jest to zadanie! A jednak, jak często praca i trud pozostają bez owocu! Jak długo nie zdobędzie się zaufania Chińczyków jest wszelka praca daremna; ponieważ zaś młodzież już z natury jest chwiejna, a tutaj jeszcze chłodem pogaństwa zarażona na duszy, trzeba więc często na nowo zaczynać w tej właśnie chwili, kiedy uważało się dzieło niemal za dokonane“.

Do tych wewnętrznych, psychologicznych trudności dołącza się jeszcze wiele innych, mianowicie szczupła liczba Misyonarzy oraz nieprzyjazne stosunki i okoliczności, w jakich Kiangsi od długiego czasu się znajduje. Stąd można wywnioskować, dlaczego postępy seminaryum były tak powolne. Oby teraz Bóg raczył tej pracy błogosławić na przyszłość.

Z dziejów Domu Stradomskiego.

III. Seminaryum duchowne na Stradomiu.

1. Fundator Książę Biskup Konstanty Felicyan Szaniawski.

Początek swój zawdzięcza stradomskie seminaryum kleryków biskupowi krakowskiemu Ks. Szaniawskiemu. Jego to postaci, owianej pewną świeżością, przypatrzmy się najpierw.

Krakowski Książę Biskup niemal zawsze walczył swą powagą, wpływem i znaczeniem z prymasem gnieźnieńskim o pierwszeństwo w narodzie. Szaniawski nie rodem, lecz twardą pracą i wytrwałością doszedł do tak wysokiego stanowiska. Pochodził bowiem z ubogiej szlachty, herbu Junosza, z ziemi Łukowskiej. O tych to Szaniawskich tak opowiada biskup Łętowski [1];

„Bowiem Szaniawskich było co niemiara. Półtory mili od Łukowa były ich wsie całe, różniących się tylko przydomkami, n. p. Szaniawscy Salmony, Ryndy, Gzary, a od tych znowu Szaniawscy Pierożki, Grzywacze, Bączki, Osiołki, Wilczki, i tak bez końca. Przechowuje się też o Szaniawskim powieść. Był on za nauką przyszedł do Krakowa, a przy książce miał garnuszek, co nie było wstyd żaden. Był odpust

[1]) Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich. Biskupi krakowscy, przez ks. Ludwika Łętowskiego, biskupa joppeńskiego. Kraków 1852, t. 2, str. 230–234.

N. M. P. Anielskiej u Reformatów: Szaniawski tam z garnuszkiem stał. Gości było w refektarzu huk, między nimi starosta Łętowski. Spodobała mu się szykowność Szaniawskiego, a gdy on zlewa do garnuszka, dobył z kalety dukata i dał mu, mówiąc: „Pomnij chłopcze, jak będziesz biskupem krakowskim, iżbyś mi puścił klucz Radłowski“. Po latach trzydziestu z górą, wyszedł Szaniawski na człowieka, a Łętowski podupadł. Jednego rana siedział szlachcic pod domkiem niebogatym za Karmelitami gdzieś, a tu wleci hajduk i spyta: „Czy tu starosta Łętowski“ — „Tak jest“, odpowiedział szlachcic. — „Macie iść do biskupa na obiad“, rzecze hajduk. — Ubrał się szlachcic, w co miał najlepszego, i szedł na pałac biskupi. Przy końcu stołu, u którego siedziało wiele Jaśnie Wielmożnych Panów, weźmie biskup za kielich i pije do Łętowskiego: „Słuchajcie, panie bracie! jam to jest Szaniawski z garnuszkiem, któremu daliście dukata u Reformatów, w dzień N. M. P. Anielskiej, z paupra dziś biskupem: wypuszczam Waści klucz Radłowski, boś położył był to za warunek“. — Starzec się rozpłakał, nie dał mu upaść do nóg Szaniawski, obecni spojrzeli po sobie, gdyż to był dzień piękny dla Szaniawskiego, a nauka nie jednemu“.

Konstanty Felicyan Szaniawski urodził się dnia 24 listopada 1668 r. Od młodu sposobił się do stanu duchownego i pilnie przykładał się do nauk. Uczył się zaś w Krakowie, jak wyżej powiedziano. Przy swej pracowitości nabywał znaczenia i cieszył się uznaniem. Już jako kapłan i kanonik wileński przybył do Krakowa i uzyskał tu na Akademii stopień doktora obojga praw w r. 1702. Od tego czasu szybko zyskiwał różne urzędy świeckie i kanonie. Został referendarzem litewskim i na tem stanowisku polecił mu August II uczyć się języków niemieckiego i francuskiego, bo dotąd władał tylko polskim i łaciną. Teraz zaś dla porozumienia się z królem zabrał się pilnie do studyum języka francuskiego i dobrze go sobie przyswoił. August II cenił sobie Szaniawskiego dla zdolności dyplomatycznych, jakiemi się odznaczał. Wogóle miał wzięcie u monarchów. Car Piotr W. obdarzył

go kosztownym krzyżem biskupim, wysadzanym szafirami i dyamentami, z którym go portretują. Jako opat Wychowski posłował od króla do Paryża i przypadłszy do gustu małoletniemu Ludwikowi XV. zabawiał się z nim kartami. „Gra szła na złoto — powiada Łętowski (l. c.) — a rumelpikieta dopisywała opatowi. Urosła z tego suma na tysiące czerwonych, którą przy pożegnaniu zamieszczono w księgę długu narodowego. Szaniawski legował ją potem na Księży Misyonarzy Warszawskich: od której dawano procent po rewolucyę francuską".

August II. chcąc się wywdzięczyć za usługi, jakie mu Szaniawski wiernie oddawał, dał mu nominacyę na biskupstwo kujawskie 1705 r. Wpływami i zapobiegliwością uratował Szaniawski przy pomocy innych stronników króla tron Augustowi II., mimo że on zrzekł się korony w ugodzie altransztackiej 1706 r. Rzeczywiście August II. odwołał swą abdykacyę w trzy lata potem i zdołał się utrzymać przy koronie polskiej. Nic więc dziwnego, że wdzięczny był za to Szaniawskiemu i po śmierci księcia biskupa Kazimierza Łubieńskiego dał stolicę krakowską Szaniawskiemu 1720 roku.

O działalności politycznej Szaniawskiego wyraża się Tomkowicz w ten sposób [1]):

„Miał Szaniawski pewne zalety: był nie złym człowiekiem i kapłanem, miał serce dobre, rękę otwartą, ale działalność jego publiczna nie była idealną i jeżeli wierność dla lichej i szkodliwej postaci króla Augusta II. miała tę dobrą stronę, że dopomagała do utrwalenia dziedzicznego tronu, który mógł stać się dla Polski zbawieniem, to on z pewnością ideę tę popierał bezwiednie; niema najmniejszego dowodu na to, żeby zdawał sobie sprawę z doniosłości takiego programu".

Jako biskup był Szaniawski wzorowym pasterzem, dbałym o wiernych i o duchowieństwo. Z tych pobudek fundował

---

[1]) Galerya portretów biskupów krakowskich w krużgankach klasztoru OO. Franciszkanów w Krakowie. Biblioteka krakowska Nr. 28, str. 187.

Misyonarzy u św. Wojciecha pod Gdańskiem, gdy jeszcze był biskupem włocławskim, do którego także należało Pomorze. „O kilometr od miasta Gdańska jest wieś pewna, zwana wsią św. Wojciecha, w której się znajduje starożytny kościół parafialny pod temże wezwaniem. Część tej wsi należy do posiadłości włocławskiej, druga część jest w posiadaniu i własności doczesnej proboszcza św. Wojciecha. W tej wsi Najprzew. Ks. Konstanty Felicyan Szaniawski, podówczas biskup włocławski i pomorski, w r. 1710 postanowił fundować dom Zgromadzenia Misyi i w tym celu wezwał z Warszawy Ks. Henryka Monmejan ze Zgromadzenia Misyi, któremu kościół parafialny św. Wojciecha w tym czasie, wskutek dobrowolnej rezygnacyi Ks. Ludwika Jantoni, kanonika warmińskiego, wakujący, dał w komendę czyli w czasową administracyę. A w następnym roku 1711 rzeczony Ks. Montmejan otrzymał od papieża nadanie tego beneficyum pod datą Romae XV. Kalendas Septembris 1711. Tymczasem własnym kosztem kazał Ks. Biskup w pobliżu rzeczonego kościoła wystawić dom murowany na mieszkanie Misyonarzy, który ostatecznie skończono w r. 1713". — Tak opowiada Historia Congr. Miss. in Polonia (inaczej t. zw. „Liber Initia", na str. 365).

W swej dbałości o duchowieństwo nie żałował pracy i majątku. Ufundował Jezuitom teologię w Gdańsku, seminarya w Kielcach i w Krakowie na Stradomiu. Uposażył seminaryum zamkowe w Krakowie, seminaryum sandomierskie, lubelskie i włocławskie. Założył dom poprawy dla kapłanów w Lipowcu. W Łukowie na Podlasiu, w swem miejscu rodzinnem, wystawił kościół i konwikt dla ubogich studentów z fundacyą dla rodziny Szaniawskich. — W znacznej mierze przyczynił się do restauracyi Zamku krakowskiego, złupionego przez Szwedów. Do skarbca na Wawelu dał kosztowny złoty ornat, który się dotąd dochował, i kielich. A oprócz tego zostawił rodzinie znaczne majątki ziemskie i kosztowności. Na to wszystko starczyło mu dochodów, bo znakomicie umiał rządzić majątkami. Miał więc z czego pofolgować swej hojności.

Lubił mieszkać w Lipowcu, gdzie miał piękny dwór. Tam też zmarł, przeżywszy lat 63. O tem tak pisze Ks. Sup. Stanisław Siedlecki w Kronice Stradomskiej (str. 111): „Umarł w Lipowcu nasz Najdostojniejszy Dobrodziej w tymże roku 1732, dnia 2 lipca pod wieczór. Był przy nim dla przysposobienia duchownego Ks. Augustynowicz, Misyonarz“. Pochowany został na Wawelu w kaplicy Konarskiego, którą Szaniawski przyozdobił marmurami.

Nie całe dwa miesiące po jego śmierci otwarto na Stradomiu nasze seminaryum Internum, 20 sierpnia 1732, a potem seminaryum Externum.

2. Akt fundacyi seminaryum stradomskiego.

Uroczysty akt fundacyjny obu seminaryów stradomskich wydał Książę Biskup Szaniawski dnia 28 maja 1732 roku. Powiada fundator, że chociaż już poprzednicy jego na stolicy biskupiej w Krakowie, a nawet on sam, już niejedno uczynili dla duchownego dobra tej olbrzymiej przez trzy województwa ciągnącej się dyecezyi, to jednakże dla uzupełnienia swej, szerokie kręgi zataczającej opieki, uważał za wskazane, aby ufundować dwa seminarya na Stradomiu u Księży Misyonarzy: jedno Seminaryum Internum, z któregoby wychodzili nowi Misyonarze, a drugie Seminaryum Externum, dla wychowywania kleru świeckiego na pożytek dyecezyi krakowskiej. Seminaryum świeckie fundował na ośmnastu kleryków, a seminaryum internum na dwunastu. Właściwie na Stradomiu kształcili Misyonarze kleryków świeckich o wiele wcześniej. Mianowicie już w r. 1704, dnia 12 stycznia Ks. Jan Męciński, koadjutor kanonikatu katedralnego, zapisał domowi stradomskiemu Zgromadzenia Misyi 12.000 złp. z dochodem rocznym 720 złp., aby za to kształcili i żywili trzech kleryków dyecezyalnych [1]). Ci zaś, którzy korzystali z fundacyi Ks. Męcińskiego

[1]) Powiedziano, że Ks. Jan Męciński był koadjutorem kanonikatu katedralnego. W Polsce bowiem mieli także kanonicy swych pomocników na wzór biskupów i proboszczów, którzy mają swych koadjutorów. Ci koadjutorzy czyli wikaryusze kanoników pojawiają się w Polsce już z koń-

powinni byli w czasie pobytu swego na Stradomiu w seminaryum odmawiać dwa razy w tygodniu psalmy pokutne i litanię do Wszystkich Świętych. Gdy zaś otrzymają święcenia kapłańskie, powinni, póki bawią w seminaryum, odprawiać po dwie msze św. za fundatora, a po opuszczeniu seminaryum tego mieli co miesiąc jedną mszę św. ofiarować na powyższą intencyę [1]).

Z razu ulokowano kapitały Ks. Męcińskiego na wsiach Zembrzyce i Marcówka, należących do p. Małachowskiego, który oddał te pieniądze z powrotem Misyonarzom, a oni wypożyczyli je wraz z innemi sumami Józefowi Gumienieckiemu, chorążemu Parnaskiemu, w r. 1729, na 6% [2]).

Dalej powiada Ks. Biskup Szaniawski w akcie fundacyjnym seminaryum stradomskiego, że do tych trzech kleryków, utrzymywanych z fundacyi Męcińskiego, on swoim kosztem dołączył sześciu innych [3]). Było więc na Stradomiu po dziewięciu kleryków świeckich za czasów biskupa Szaniawskiego, a poprzednio od r. 1704 po trzech. Stradomskie seminaryum kleryków sięga więc niemal początków XVIII. wieku, akt zaś fundacyjny z r. 1732 jest właściwie odnowieniem i rozszerzeniem znacznem dzieła już poprzednio długo istniejącego. Brak kleru tłómaczył tę gorliwość biskupa o nowe seminarya, zwłaszcza misyonarskie, które dostarczały dobrze wyszkolonych i praktycznych duszpasterzy i były wtedy bardzo pożądane.

Zgromadzenie nasze przyjęło z wdzięcznością tę łaskawość fundatora. Oto w jaki sposób generał Zgromadzenia przyjmuje te seminarya stradomskie i dziękuje biskupowi:

„Ks. Jan Bonnet, superyor generalny Zgromadzenia Misyi, wszystkim, którym na tem zależy, lub zależećby mogło, oznaj-

---

cem wieku XII, a w XIII wieku stanowią już całkowicie rozwinięty urząd kościelny. — Patrz St. Zachorowski, „Rozwój i ustrój kapituł Polskich w wiekach średnich". Kraków 1912, str. 96 i nast.

[1]) Liber Initia, str. 211-12, Initia Domus Strad., Nr. 27.

[2]) Initia Domus Strad., Nr. 37.

[3]) Quibus nos sex alios per plures annos ex facultatibus nostris sustentatos adiunximus.

miamy i zaświadczamy, że gdy przez wiele listów Ks. Jan Aumont, kapłan Zgromadzenia Misyi oraz superyor domu św. Krzyża w Warszawie i wizytator innych domów misyonarskich w Polsce i Litwie, zawiadomił nas, iż Jaśnie Oświecony Książę Konstantyn Felicyan ze Szaniaw Szaniawski, Krakowski Biskup, Książę Siewierski etc., ma zamiar dla pomnożenia chwały Bożej, oprócz już założonych w kilku miejscach przez Jego Excellencyę seminaryów, założyć dwa inne seminarya w naszym domu stradomskim, jedno na ośmnastu kleryków dyecezyalnych, drugie na dwunastu alumnów Zgromadzenia Misyi, i chce je jak najwspaniałomyślniej zaopatrzyć, my stosując się do życzeń Jaśnie Oświeconego Księcia i do Jego ku nam zwróconej najłaskawszej woli, z największą wdzięcznością dajemy przez niniejsze pismo zupełną władzę Ks. Janowi Aumont, aby tych dwóch seminaryów erekcyę i dotacyę przyjął imieniem naszem, którego to aktu erekcyi Instrument własnoręcznie podpiszemy, skoro tylko zostanie sporządzony i do nas przesłany. Aby zaś tak wielkiego dobrodziejstwa pamięć u nas zawsze się chowała, taką będzie powinność dwunastu kleryków naszego Zgromadzenia do seminaryum na Stradomiu przyjętych, żeby codzień gorące do Boga zanosili modły, a co miesiąc raz ofiarowali przyjęcie Ciała Pańskiego, albo gdyby byli kapłanami odprawili mszę w tej intencyi, aby Jaśnie Oświeconego Księcia, dopóki światłości ziemskiej zażywać będzie, wszelkim łask rodzajem dla dobra jego dyecezyi i całego Królestwa napełniał Bóg łaskawy, a gdy on już skończy ostatni dzień żywota swego, aby mu odpuścił wszystko, coby jeszcze miał do spłacenia, i jak najprędzej policzonego do grona Świętych, wieczną zapłatą wynagrodzić raczył. Tę zaś powinność wdzięczności spełniać będą po odbyciu dwuletniego seminaryum ci sami seminarzyści przez cały czas studyów policzeni już do scholastyków. Na dowód wiarogodności tego wszystkiego ten akt własnoręcznie podpisany poleciliśmy opatrzeć pieczęcią naszą i podpisem naszego sekretarza. W Paryżu w naszym

domu św. Łazarza, R. P. 1730, a dnia 20, miesiąca sierpnia. — Jan Bonnet, m. p. C. SS. D. — Z polecenia Najprzewielebniejszego Księdza Superyora Generalnego: Edmund Thibaud, sekretarz Zgromadzenia, m. p."

Akt erekcyjny seminaryum Stradomskiego kończy się uroczystemi słowami:

„Działo się to w Krakowie roku od Narodzenia P. N. J. Chr. 1732, za indykcyi rzymskiej dziesiątej, w drugim roku Pontyfikatu Najświętszego w Chrystusie Ojca Klemensa XII., w środę 28. maja. W obecności Przewielebnych, Najczcigodniejszych księży Kanoników katedralnych krakowskich, Mikołaja Wyżyckiego, dziekana, Wacława Sierakowskiego, kustosza koron Królestwa i audytora spraw sądowych naszej kuryi, i księdza Cypryana Langi, doktora obojga praw, koadjutora archidyakonatu Zawichostkiego, kanonika sandomierskiego, prepozyta makowskiego, a notaryusza tejże kuryi. — Konstanty Felicyan, biskup krakowski. — Cypryan Langi".

3. Wyposażenie materyalne seminaryów stradomskich.

Książę Biskup Szaniawski, zamierzając fundować w domu stradomskim seminarya, polecił Misyonarzom powiększyć zabudowania na Stradomiu tak, aby budowle stanowiły zupełny czworobok, którego jednym bokiem był pałac Wielopolskich, drugim budowle od furty do ogrodu, za Ks. de Monteils zbudowane, a trzeci bok od ogrodu i czwarty, który częścią do kościoła przytyka, miał być dopiero wybudowany [1]).

Umowę z ks. wizytatorem Aumont zawarł Książę Biskup w r. 1730, w czasie wizytacyi odbytej od 23 maja do 10 czerwca, czy też zaraz po niej. Sprawę budowy zlecono ks. Mikołajowi Augustynowiczowi, asystentowi tegoż domu. Ks. Augustynowicz był z pochodzenia Ormianinem. Przybył na Stradom już w październiku 1719 r., jako subdyakon, razem

[1]) Liber Initia, Stradom, str. 215, Nr. 58.

z Łukaszem Niwińskim, również subdyakonem, z Warszawy. Tu zostali wyświęceni na kapłanów [1]).

Wybrano Ks. Augustynowicza na kierownika budowy, bo posiadał odnośne wiadomości z dziedziny budownictwa. O tej budowli tak powiada Kronika stradomska (str. 110): „Zaraz tę sprawę powierzono ks. Augustynowiczowi, który prędko zwołał robotników i przez lato doprowadził budowę pod dach. Koszta na ten cel przeznaczone były ze sumy, leżącej w banku paryskim. Ponieważ ta suma nie dawała dostatecznych dochodów, dlatego ks. Augustynowicz zaciągnął kilka tysięcy długu, aby tylko przyspieszyć budowę". Budowa trwała dwa lata, bo, jak czytamy we wspomnianej Kronice, Ks. Biskup odwiedzając Stradom w r. 1732 na św. Stanisława, zobaczył, że nowa budowa była prawie na ukończeniu. Budowanie było tego samego typu co dawniejsze, t. j. kurytarz biegł od strony wirydarzyka środkowego, a po drugiej stronie były sale wspólne czyli, jak je nazywano, komunały. Dopiero w r. 1809 ks. Sup. Jan Kanty Górnicki zmienił środkowe skrzydło od ogrodu, na pierwszym i drugim piętrze „łamiąc mury domu, aby uformować sale na wzór seminaryum wiedeńskiego", powiada Ks. Wojciech Malinowski [2]).

Ponieważ suma paryska nie dawała dostatecznych dochodów, więc Ks. Biskup dał Misyonarzom wieś Dobronowice, niedaleko Wieliczki leżącą, celem pobierania dochodów za rok 1730 i 1731. Tę posiadłość objęliśmy, powiada Kronika stradomska, po św. Janie Chrzcicielu przez Ks. Augustynowicza i Ks. Malinowskiego Urbana, od Ks. Niwińskiego, prokuratora na Zamku. Wieś miała dawać dochody na sprawienie utensiliów do przyszłego refektarza i kuchni, jako to na zakupno obrusów, serwet, łyżek, widelców, nożów itd. W pierwszym roku prawie nic z tego źródła nie wpłynęło na Stradom,

---

[1]) Cathalogus Missionariorum... qui manserunt in Stradom. a 1719. — Mémoires de la Pologne I., str. 147.

[2]) Opisanie krótkie dziejów domu XX. Misyonarzy i seminaryum dyecezyalnego w Krakowie na Stradomiu, od r. 1817, miesiąca maja, str. 1.

z powodu zasiewów nie bardzo dobrych, bo oziminy wszędzie mało się udały, powiada Kronika (str. 60).

Na jesień 1732 roku wszystko było gotowe i otwarto seminaryum stradomskie. Równocześnie z erekcyą seminaryum stradomskiego Książę Biskup Szaniawski powierzył także Misyonarzom tego samego domu zarząd zakładu poprawy dla duchownych w Lipowcu. Uczynił to w tym samym dokumencie, którym erygował seminarya stradomskie [1]).

Przypatrzmy się teraz wyposażeniu, jakiem opatrzył fundator oba seminarya na Stradomiu.

Najpierw dał wtedy na ten cel, tj. na utrzymanie seminaryum internum i externum, kwotę 218.200 franków, przynoszących rocznego dochodu 5.455 franków, złożonych w banku paryskim (in praetorio Parisiensi), a przeniesionych na dom stradomski przez Ks. Wincentego Lamy, prokuratora generalnego Zgromadzenia Misyi, który w tym celu otrzymał specyalne zlecenie czyli pełnomocnictwo od Księcia Biskupa Krakowskiego. W akcie erekcyjnym Książę Biskup aprobuje drugi raz to pełnomocnictwo oraz jego wykonanie na korzyść Stradomia.

Powtóre, celem udotowania wymienionych seminaryów, wyznaczył dalej dwie małe wioski, Dobronowice i Wolę Dobronowską, nabyte przez Najdostojniejszego Fundatora w drodze darowizny od prowizorów seminaryum zamkowego, za poprzedniem przyzwoleniem kapituły katedralnej krakowskiej, w Grodzie Krakowskim w sobotę po niedzieli „Exaudi“ 1728 r. dokonanej. Cesyę tych wsi na rzecz domu stradomskiego, dokonaną w Grodzie Krakowskim we środę po niedzieli Rogationum 1732 r., aprobuje Książę Biskup w akcie erekcyjnym.

Potrzecie do powyższych sum dotacyjnych przyłączy sumę 12.000 złp., jaką Ks. Męciński złożył na utrzymanie trzech kleryków. Tę dawną fundacyę, dotychczas przez władzę biskupią nie potwierdzoną, aprobuje.

Poczwarte sumę 3.000 złp., którą domowi stradomskiemu dał w roku 1705 Ks. Jan Łuczkiewicz, kanonik kra-

---

[1]) O Lipowcu później będzie mowa.

kowski, na profesora filozofii, który będąc członkiem domu stradomskiego miał codzień iść na Zamek do seminaryum i tam w rannych godzinach wykładać klerykom dyecezyalnym dyalektykę i logikę. Ks. Cyboni superyor stradomski użył tych pieniędzy na spłacenie długów ciążących na wsi Lgota [1]).

Kapituła krakowska w swym dekrecie z 4 czerwca 1728 roku poleciła Misyonarzom stradomskim zużytkować sumę 4.500 złp. na utrzymanie kleryków, licząc na jednego po 200 złp. rocznie, a 1500 złp. policzyć miano na anniwersarz za ś. p. Ks. Łuczkiewicza. Anniwersarz miała tworzyć jedna msza śpiewana i kilka cichych, których liczbę zostawiano pobożności Misyonarzy. Powiada autor „Initia Domus Strad." (Nr. 44), że w roku 1734, kiedy on pisał swe notatki o początkach domu stradomskiego, suma 4 500 złp. już była na oznaczony cel dawno zużyta i wyczerpana. — Książę Biskup dlatego tak postąpił z fundacyą Łuczkiewicza, że wtedy ten profesor ze Stradomia nie był potrzebny dla seminaryum zamkowego. Ks. Biskup Szaniawski rozporządził w r. 1728 13 maja, w akcie erekcyjnym seminaryum zamkowego, żeby w tym zakładzie uczyło czterech profesorów Misyonarzy, mianowicie dwóch filozofii i dwóch teologii.

Z tych dochodów powinni byli Misyonarzy kształcić w seminaryum internum dwunastu alumnów swoich, lub więcej, jeżeli na to dochody pozwolą. Świeckich zaś czyli dyecezyalnych kleryków mieli utrzymywać i kształcić ośmnastu. Z pośród tych ośmnastu trzech liczyć się ma na fundacyę Ks. Męcińskiego, na którą brać należy kandydatów pochodzących z rodziny ś. p. Ks. Męcińskiego lub jego krewnych. Dwóch zaś innych powinno się brać z domu Szaniawskich lub w braku kandydatów tego imienia z ubogiej szlachty ziemi Łukowskiej, na przedstawienie głównego dziedzica dóbr Szaniawy. Tym zaś klerykom należy dać oprócz pożywienia także odpowiedni ubiór, świece i opał. Pozostałych zaś kleryków trzynastu zarząd seminaryum przyjmuje zupełnie swo-

---

[1]) Initia Domus Strad., Nr. 25.

bodnie, według swego uznania. Gdyby nie zgłosił się nikt z rodziny Męcińskich i Szaniawskich, a względnie z ubogiej szlachty Łukowskiej, aż do połowy września, wtedy i na te miejsca mogą i powinni przełożeni przyjąć innych kandydatów tak, aby liczba ośmnastu kleryków zawsze była pełna.

O dalszych losach Seminaryum Internum na Stradomiu opowiada Ks. Malinowski pod datą October 1819 [1]).

„Było niegdyś Seminaryum nasze internum na Stradomiu. Lecz po odpadnięciu dóbr w kordon austryacki, które były w Galicyi, nie mogąc Misyonarze utrzymać ze swoich przy Krakowie pozostałych funduszów, przenieśli seminaryum do Lublina, gdzie też ustało samo przez się". — Dlatego zaś przeniesiono seminaryum internum do Lublina, że tam rezydował wizytator nowoutworzonej prowincyi Galicyjskiej polskich Misyonarzy w kordonie austryackim. W październiku 1799 r. pod presyą rządu austryackiego, a za zgodą Ks. Jakubowskiego, wizytatora warszawskiego, zamianował Ks. Generał Cayla de la Garde wizytatorem tej nowej prowincyi Misyonarzy w zaborze austryackim Ks. Józefa Dębkowskiego. Nowy wizytator miał tylko trzy domy Zgromadzenia, t. j. Lublin i dwa w Krakowie, zamkowy i stradomski. Nadto był dyrektorem licznych domów Sióstr Miłosierdzia w tymże kordonie. Wkrótce utracił jeden dom przez połączenie seminaryum zamkowego ze stradomskiem. W czerwcu 1800 r. odbył Ks. wizytator Dębkowski wizytacyę naszego domu. A znał go dobrze, bo dopiero rok upływał, jak go opuścił. Ks. Dębkowski zmarł 18 grudnia 1806 r. w Lublinie, mając lat 56, a w Zgromadzeniu był od 23 listopada 1768. On prosił o przeniesienie urzędu wizytatorskiego na Ks. Stanisława Bieńkowskiego. W tej sprawie pisał też wizytator warszawski. Ks. Jakubowski do Ks. Wikaryusz ageneralnego [2]), by się przychylił do prośby Ks. Dębkowskiego. Podawał zaś za

---

[1]) Opisanie krótkie etc., str. 9.

[2]) Po śmierci ks. Generała Cayli rządzili Zgromadzeniem Wikaryusze Generalni (1800—1827).

powód, że chociaż ta prowincya liczy tylko dwa domy Misyonarzy, jednakże tamtejszy wizytator ma dużo do pracy jako dyrektor Sióstr. Ks. Wikaryusz generalny przychylił się do tego przedstawienia i zamianował Ks. Bieńkowskiego wizytatorem polskich Misyonarzy w Galicyi. — W r. 1813 dnia 13 maja pisał Ks. Hanon, wikaryusz generalny Zgromadzenia, że zatwierdza wizytatorów, Ks. Andrzeja Pohla dla prowincyi litewskiej, a Ks. Stanisława Bieńkowskiego dla prowincyi galicyjskiej. — Ale z nastaniem Królestwa Kongresowego po kongresie wiedeńskim 1815 r. przyłączono Lublin do Kongresówki, a oba domy misyonarskie zaczęły napowrót należeć do prowincyi warszawskiej Zgromadzenia[1]). Z ustaniem prowincyi galicyjskiej nie miało racyi bytu także osobne seminaryum internum w Lublinie, gdyż warszawskie seminaryum najzupełniej wystarczało dla całej prowincyi polskiej.

4. Prowizorzy.

Odnośnie do zarządu nowo powstającego seminaryum powiada Książę Biskup Szaniawski w cytowanym akcie erekcyjnym: „Do tego, chcąc zadość uczynić zamiarom św. Soboru Trydenckiego i praktyce dotychczas zachowanej, postanawiamy, że należy wybrać i deputować dwóch Prowizorów czyli raczej Protektorów naszego seminaryum z grona Wielebnej Kapituły naszego kościoła katedralnego, do których należy baczyć na przepisy wydane w tym naszym akcie erekcyjnym, wyjąwszy tych rzeczy, które się odnoszą do dochodów i rachunków tego seminaryum, do których się nie powinni mieszać“.

Pod koniec zaś tego aktu powiada znowu: „Więc na to wszystko, co o seminaryum przez nas zostało zarządzone, baczenie Przewielebnym Księżom Kanonikom Prowizorom, aby nam — to zaś co o Domu poprawy zarządzono, także i pod względem badania rachunków tego ostatniego, aby Najprzewielebniejszemu Oficyałowi krakowskiemu i jego na-

[1]) Stradom choć w Rzpltej krakowskiej, mógł znosić się z Warszawą.

stępcy — donosili, absolutnie zlecamy. Wizytacyę zaś seminaryum co do wewnętrznego i zewnętrznego zarządu, osób kleryków świeckich, jak również dochodów, a również domu poprawy i kościoła parafialnego w Babicach wizytacyę, zastrzegamy sobie i naszym następcom lub tym, którym przez nas lub przez nich ta sprawa zostanie zlecona w sposób specyalny".

Z tych słów jasno wynika kompetencya kanoników prowizorów odnośnie do seminaryum stradomskiego.

Liczba ich jest oznaczona na dwóch. Sobór Trydencki (sess. 23 rozdz. 18 o reformacyi) żąda nie dwóch osób, lecz dwóch komisyi, a zdaniem niektórych kanonistów trzech komisyi odnośnie do nadzoru seminaryum. Pierwszej komisyi, złożonej z dwóch kanoników, których wybierać ma sam biskup, według tego, jak mu Duch św. światła użyczy, z pośród kanoników starszych i poważniejszych, ma używać do dorady w zarządzie seminaryum dyecezyalnego, według przepisów przez Sobór nakreślonych. Oprócz tej komisyi ma być druga, która ma załatwiać sprawy materyalne seminaryum pod nadzorem biskupa, a względnie biskup, jeżeli sam nie załatwia, powinien zasięgać jej rady w tym względzie. Ta komisya ekonomiczna składać się powinna z czterech duchownych, t. j. dwóch kanoników i dwóch duchownych z pośród kleru miasta biskupiego. Jednego kanonika i jednego duchownego z kleru wyznacza biskup, drugiego kanonika i drugiego duchownego wybiera kler. — Tymczasem w Krakowie te powszechne ustawy Kościoła doznały zmiany. Mianowicie w zasadzie istnieli ci opiekunowie seminaryum tak dla zamkowego seminaryum jak również dla stradomskiego. Lecz o ile w Zamkowem mieli większą władzę, niż Sobór Trydencki im przyznaje, i występowali w imieniu kapituły, jak to widzimy z synodu krakowskiego 1601, jako doradcy biskupa w sprawach seminaryjnych [1]; o tyle znowu prowizorowie stradomscy mniej mieli władzy niż Sobór prowizorom przyznaje. Faktycznie bowiem prowizorzy zamkowi nie tyle byli

[1]) Ks. Wysocki: Seminaryum Zamkowe w Krakowie, str. 37 i nast.

doradcami biskupa, ile raczej rządcami w seminaryum, tak pod względem majątkowym jak i pod względem pedagogicznym, i skupiali w sobie kompetencye dwóch komisyi, jakie wyznaczył Sobór, pomimo że tych prowizorów zamkowych bywało tylko dwóch. Oni rządzili majątkiem i pilnowali, by nie tylko nie malał, lecz przeciwnie, aby wzrastał, i naznaczali publicznych obrońców sądowych w sprawach spornych majątku seminaryjnego. Oni też składali rachunki ze swej administracyi przed biskupem w czasie wizytacyi seminaryum. Tak było aż do r. 1728, w którym to czasie Książę Biskup Szaniawski pozbawił prowizorów zamkowych zarządu majątków, oddając go wyłącznie pod kierownictwo prefekta seminaryjnego. Uczynił to za zgodą kapituły katedralnej krakowskiej. Odtąd mogli prowizorzy tylko radą służyć prefektowi, a mieli prawo przeglądać roczne rachunki gospodarcze i takowe podpisać. Czynić to mieli z końcem lipca każdego roku.

Tymczasem w seminaryum stradomskiem praw takich prowizorzy nie mieli w tym stopniu, gdyż Książę Biskup Szaniawski zlecił im ogólny nadzór i opiekę nad seminaryum, lecz nie powierzył im badania rachunków. Tylko co do Lipowca mieli prawo badać rachunki i składać sprawozdanie Ks. Oficyałowi Generalnemu krakowskiemu [1]). Wpływ więc prowizorów na Stradomskie seminaryum był pod względem majątkowym całkiem mały.

---

[1]) Powiada Książę Biskup Szaniawski w akcie erekcyjnym seminaryum stradomskiego 1732 r.: „Horum igitur omnium, quae de seminario sunt, per nos ordinata attendentia Perillustribus D. D. Canonicis Provisoribus relate ad nos; quae vero de Domo Correctionis Perillustri Officiali Generali Cracov. nunc et pro tempore existenti, etiam relative calculi tamen annui Examen committimus absolute“. Że słowa „etiam relative calculi tamen annui Examen committimus“ odnoszą się tylko do Lipowca, a nie do Stradomia, widać ze słów tegoż aktu erekcyjnego, nieco wyżej powiedzianych, gdzie czytamy: „Provisores seu verius Protectores eiusdem seminarii duos ex venerabili Capitulo ecclesiae nostrae cathedralis eligendos et deputandos esse constituimus iisque attendentiam, praescriptionem in hac Erectione nostra absque eo, ut se ad proventus seminarii et eorum rationes ingerant, committimus et demandamus“.

A co do pedagogicznej strony, tę zupełnie Książę Biskup zostawił wyłacznym staraniom Misyonarzy, wykluczając wpływ prowizorów najzupełniej. O tem szerzej powiemy, mówiąc o kompetencyi Rektora seminaryum stradomskiego. — Nic w tem dziwnego, bo Biskup Szaniawski miał najzupełniejsze zaufanie do kierownictwa Misyonarzy. Znał ich system i na nim się całkowicie oprzeć chciał w wychowaniu kleru.

Co się tyczy wyboru prowizorów, nie postanowiono tutaj nic nowego. Widocznie ten sam sposób zachowano, co przy seminaryum zamkowem, odnośnie do którego Książę Biskup Szaniawski postanowił w r. 1728, że Prowizorzy mają pochodzić z łona kapituły katedralnej. Jednego mianował biskup, drugiego kapituła.

Całe zadanie Prowizorów seminaryum stradomskiego ograniczało się li tylko do opieki ogólnej. Stąd słusznie nazwał ich Fundator raczej opiekunami czyli protektorami seminaryum aniżeli prowizorami: „Provisores seu verius Protectores eiusdem Seminarii“.

Ks. Franciszek Bączkowicz.

Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim.

VII.

XX. Misyonarze w Łyskowie.

Ecce quam bonum et quam iucundum habitare fratres in unum.
Ps. CXXXII.

Kilka szczegółów z przeszłości Łyskowa.

Łysków, nędzne teraz miasteczko, był w dawnem województwie nowogródzkiem i powiecie wołkowyskim, obecnie w gubernii grodzieńskiej i tymże powiecie wołkowyskim. Miejscowość ta musiała już istnieć w XV stuleciu, a jest znana z początkiem XVI wieku, bo, jak wiadomo, Maciej Kłoczko, dziedzic Łyskowa, Międzyrzecza i innych dóbr w tamtych stronach, ostatecznie starosta żmudzki, fundował w Łyskowie kościół w roku 1527 [1]) pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny drewniany.

Ród Kłoczków vel Kłoczkiewiczów h. Ogończyk jest znany [2]). Ojcem tego Macieja, a zapewne też dziedzicem Ły-

---

[1]) X. Prałat Jan Kurczewski, Biskupstwo wileńskie, Wilno 1912 roku, p. 230.

[2]) HerbarzRanieckiego t. X, zeszyt 4.

skowa, był Wojciech, namiestnik kowieński, marszałek litewski, zmarły 1514 roku. Maciej posiadał znaczne dobra, bo na ekspedycye wojenne dostarczał z dóbr swoich 47 koni, a z majętności, zastawionych mu przez teściową (Hlebowiczową, wojewodzinę połocką) 18 koni; starosta żmudzki umarł 11 kwietnia 1543 roku. Córka jego, Maryna, żona kniazia Prokopa Dolskiego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, odziedziczyła Łysków, przenosząc go w dom kniaziów Dolskich, potomków udzielnych książąt pińsko-turowskich.

Prokopostwo Dolscy zostawili dość liczne potomstwo [1]), które musiało też władać Łyskowem, ale te dzieje nie są nam znane dokładnie, wiemy tylko, że około połowy XVII wieku Łysków staje się własnością Kuncewiczów h. Łabędź [2]) a mianowicie Jakób Teodor Kuncewicz, elektor Władysława IV, ostatecznie wojewoda brzeski litewski od r. 1664, zmarły 1667 r., miał trzy żony i ostatnią była przed r. 1664 Felicyanna Krystyna Wojnianka, chorążanka wołkowyska, a jej synem Dominik, sporządzający testament w 1689 r., zdaje się bezpotomny. Otóż czy Łysków należał do wojewody brzeskiego, czy do jego trzeciej żony (co jest, niby, pewniejsze), to się nie daje rozstrzygnąć stanowczo, wiemy jednak napewno, że ona sprowadziła do Łyskowa Bazylianów (o czem niżej) i dała im uposażenie, które Dominik, syn jej, powiększył.

Tu się nam znowu wątek urywa, bo nie wiemy, jak długo Łysków w tym rodzie zostawał i kiedy się stali właścicielami jego Bychowcowie.

Bychowcowie h. własnego vel Mogiła z odmianą, pochodzący z bojarów smoleńskich [3]), przesiedlili się na Litwę i Ruś Czerwoną, gdzie przyszli do majątków i znaczenia. Byli oni, poniekąd, skoligaceni z Kuncewiczami, bo wyżej wspomniana Felicyanna Krystyna z Wojnów Kuncewiczowa

---

[1]) Kniaziowie Litewsko-Ruscy Józefa Wolffa, Warszawa 1895 p. 50.

[2]) HerbarzÄnieckiego, tom XIII, zeszyt 5.

[3]) Herbarz Bonieckiego też.

wyszła naprzód za Jana Bychowca (Kuncewicz był jej drugim mężem), około roku 1652; czy miała z nim dzieci, nie wiadomo, bo Boniecki nie podaje filiacyi Bychowców przed wiekiem XVIII, ale wymienia on Samuela Bychowca (może to syn Jana?), starostę lucyńskiego około r. 1716, żonatego z Krystyną Denhofówną, kasztelanką witebską, właściciela, jak się zdaje, Łyskowa, który zostawił czterech synów, a jeden z nich Jan, kanonik wileński (nazywają go też i prałatem), sprowadził do Łyskowa 1751 roku XX. Misyonarzy. Od braci kanonika pozostało potomstwo, dalej ród ten prowadzące; tak Jan, sędzia ziemski i wojski wołkowyski, 1758 r., właściciel Łyskowa; Ignacy, podstoli wołkowyski 1780 r., posiadający Chmielnik. Synem jednego z nich był Józef, krajczy litewski od r. 1793, dziedzic Łyskowa, żonaty z Rozalią z Biszpingów, który świat ten pożegnał w 1810 roku, zostawiając dwu synów, Aleksandra i Adama.

Pierwszy z nich w 1811 r. otrzymał stopień kandydata filozofii w Uniwersytecie Wileńskim; ten się ożenił z Buczyńską i miał dwu synów, Stanisława i Kazimierza, bezdzietnych, oraz córkę Julię, za Kazimierzem Dziekońskim, właścicielem rozległych dóbr, Mogilowce, dotąd w tym rodzie będących. Drugi, Adam, młodszy, ukończywszy szkoły łyskowskie w r. 1814, wstąpił do Uniwersytetu wileńskiego na studya nauk przyrodniczych. Adam poślubił następnie Izabelę Jelską (zmarłą w 1896 r. i pochowaną w Dudziczach w gubernii mińskiej); z tego małżeństwa dwoje dzieci: Zdzisław i Aleksandra za Butrymowiczem, przyjaciółka od serca Heleny Skirmuntowej, słynnej rzeźbiarki [1]) i autorki; Zdzisław wstąpił w stan małżeński z Wandą Moraczewską (której matka była rodzoną siostrą J. I. Kraszewskiego); do niego należy (początek tego wieku) Łysków razem z innemi dobrami obszernemi [2]).

---

[1]) Bronisław Zaleski, vir catholicissimus, pięknie żywot jej opisał p. t. „Z życia Litwinki“, 1827—1874, Poznań 1876.

[2]) Zdzisław Bychowiec ma dwóch synów, Leona i Adama, tyleż córek, Maryę i Izabellę.

Bazylianie w Łyskowie.

Jakiś nieznany, zapewny współczesny, autor tak opisuje[1]) tę zakonną siedzibę; „Cichy ten zakątek od dwóch przeszło wieków posiadał Zgromadzenie OO. Bazylianów; mieszkali tam zakonnicy w klasztorze murowanym z 20 prawie mieszkalnemi celami; przy nim cerkiew drewniana, ale materyał na wzniesienie nowej, murowanej, już był przygotowany. Gospodarstwo było w dobrym stanie: dwie sadzawki dostarczały ryb rozmaitego rodzaju, ogrody owocowe, pasieki, trochę opodal folwark dobrze zabudowany, przy nim tak zwana jurydyka z 15 dymów złożona, opatrywały potrzeby Zgromadzenia; należała jeszcze do klasztoru wieś ze 30 chat licząca. Życie było patryarchalne; klasztor, jak wszystkie w tych czasach, nie odznaczał się surowem, umartwień pełnem życiem, ale panowała w nim szczera pobożność i było przykładne życie. Ojcowie kochani byli w miasteczku i okolicy; w przeciągu dwóch przeszło wieków nie pamiętano żadnego w cichym ich domu zgorszenia. Żyli oni w najlepszych stosunkach z Misyonarzami, których klasztor stał bliziutko. Podczas wielkich uroczystości nabożeństwa odbywały się wspólnie: Misyonarze pomagali Bazylianom, Bazylianie Misyonarzom; wiele sierot, karmionych i odziewanych w unickim klasztorze, chodziło do szkoły, utrzymywanej przez Misyonarzy; na egzaminach i w czasie szkolnych popisów musieli zawsze bywać Bazylianie; kiedy ich prowincyał zjeżdżał do klasztoru, całe Zgromadzenie misyonarskie przychodziło go powitać i wzajemnie za przyjazdem Wizytatora Misyonarzy Bazylianie śpieszyli z atencyą“ [2]).

Klasztor OO. Bazylianów, jakeśmy to już wyżej mówili,

---

[1]) Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, r. 1866, Paryż 1867, Akta męczeńskie Unii (przed r. 1839) Łysków, 113—117.

[2]) Na terytoryum gubernii teraźniejszej grodzieńskiej, oprócz Łyskowa, było jeszcze 13 klasztorów bazyliańskich w następnych miejscowościach: 1) Antopol, 2) Brześć, 3) Byteń, 4) Czerlona, 5) Chomsk, 6) Grodno, opactwo, 7) Kobryn, opactwo, 8) Nowosiółki, 9) Torokanie, 10) Żyrowice, 11) Różana, 12) Jatwisk, 13) Lepiosy, w zależności od Kobrynia.

powołała do życia Krystyna z Wojnów Kuncewiczowa, wojewodzina brzeska[1]) w 1682 r. dnia 2 czerwca, wprowadziwszy tam tych zakonników i zbudowawszy poprzednio dla nich klasztor i świątynię, chociaż są ślady, że tam już w pierwszej ćwierci XVII wieku cerkiew unicka się znajdowała.

Od tej Kuncewiczowej, zmarłej w 1685 roku, pochodzi uposażenie klasztoru, któremu ona nadała folwark Kornedź z karczmą, wioskę Kuklicze z 13 poddanymi i ich powinnościami i folwarczek Odyńcowskim zwany[2]) na ogrody, wypust bydła, a w samym Łyskowie, dziedzicznym swoim, staw z młynem i młynarzem, wstęp do lasów dworskich, na habity zaś rocznie 150 złotych z arendy łyskowskiej, wyznaczyła również tymże funduszem grunty plebanalne, do cerkwi parafialnej świeckiej, za miasteczkiem będącej, należące razem z tą cerkwią i plebanią, przyłączywszy to do klasztoru z obowiązkiem odprawiania 2 mszy tygodniowo za duszę fundatorki i jej rodziny, oraz spełniania powinności parafialnych owej przyłączonej do nich cerkwi[3]).

O klasztorze bazyliańskim dowiadujemy się też z innej strony: na Kongregacyi nowogródzkiej, 1682 r., inkorporowano go do prowincyi litewskiej, a na Kongregacyi XXI. też

---

[1]) Wiadomości o funduszach Bazylianów w dyecezyi brzeskiej zebrane w 1809 r., znajdujące się w archiwum w Supraślu.

[2]) W gminie łyskowskiej dotychczas się znajdują wioski Korniedź i Kuklicze, jest też i wieś Odynowszczyzna, prawdopodobnie dawny folwarczek Odyńcowski; cfr. Spisok zemlewładenij w grod. gubr. Grodno 1890.

[3]) Nie możemy się powstrzymać tutaj od następującej uwagi: gdy postanowiono w zaborze rosyjskim zniszczyć Unię, rzucono się z całą gwałtownością na Bazylianów, jako jej najżarliwszych obrońców, starając się rozmaite na Zakon winy zwalać, a pomiędzy innemi i tę, że przemocą zabierali cerkwie parafialne i ich fundusze sobie przywłaszczali; otóż jak tu, w Łyskowie, tak i gdzieindziej bywało, że patronowie, którzy prawo to wówczas mieli, przenosili legalnie uposażenia cerkwi na Bazylianów i tym osobne, znacznie większe, dawali udotowanie z takimi (np. utrzymywanie szkół) obowiązkami, którym często duchowieństwo świeckie zadość uczynić nie było w możności; rzecz naturalna, że tu nie może być mowy o gwałtach ze strony Bazylianów, przeciw którym, niestety, nawet duchowieństwo świeckie, podniecane przez wrogów Unii, zapalczywie występowało!

w Nowogródku, 1686, zaznaczona składka z Łyskowa 10 zł., na protoarchimandrytę; na Kongregacyi zaś XXV. również nowogródzkiej [1]) w 1703 r., czytamy (na sesyi 2): „O. Arapowicz, na starszeństwie Łyskowskim zostawał bez obediencyey reverendissimi protoarchimandritrae, ustąpił z congressu capituli, a na iego mieysce zasiadł O. Hilarion Marcinkiewicz".

Potem, w r. 1709, zastajemy tam superyorem O. Barnabę Swidnickiego [2]). W tymże roku, na Kongregacyi bialskiej, postanowiono, aby przełożony dozierał vigilantissime w trybunale litewskim spraw, agitujących się o Szpaki [3]), żeby ten folwark nie odpadł od klasztoru, tudzież, aby młyn spalony restaurował i prowizyi corocznej na habity niedochodzącej jure dochodził [4]).

Jeszcze nam wiadomo, że około r. 1774 w Łyskowie, mieszkało 6 zakonników i uczono po słowiańsku [5]); superyorował w tych czasach O. Dąbrowa, potem O. Lucyd Woyniłłowicz, następnie O. Melecyusz Giedroyé, pomiędzy rokiem 1768 i 1780 [6]), na początku zaś XIX. stulecia zastajemy tam pięciu kapłanów i jednego kleryka [7]).

W ciągu XIX. wieku zaledwo kilku możemy wymienić tam przełożonych.

Około r. 1810 stał na czele tego klasztoru O. Marceli Jaroszewski; rodził się on w połowie XVIII. stulecia, a umarł jeszcze przed reformami Siemaszki [8]); za jego czasów, a może nawet trochę wcześniej, był tu kaznodzieja O. Sofroniusz Kamiński, młodszy od niego, który świat ten opuścił jeszcze przed upadkiem Unii. Pomiędzy rokiem 1823—1826 był su-

---

[1]) Archeograf. Sbornik XII. p. 121, 125.

[2]) Archeograf. Sborn. l. c. p. 144.

[3]) Szpaki, też w pow. wołkowskim, zapisał był klasztorowi łyskowskiemu, Dominik Kuncewicz, syn fundatorki.

[4]) Archegf. Sbornik, l. c. p. 165.

[5]) Guépin, S. Josaphat t. II. p. 250, Paris, 1874.

[6]) Akty woln. kom. t. 328, 377, 375.

[7]) Tolstoy, Catholicisme romain en Russie t. II, Annexe 25.

[8]) Spis przełożonych bazyliańskich prowincyi litewskiej z r. 1827, manuskrypt w ręku piszącego.

peryorem O. Benedykt Homolicki; Siemaszko o nim nie wspomina, chociaż był skoligacony z tą rodziną i wielu w niej miał swoich zwolenników, zapewne O. Benedykt nie należał do nich. Po Homolickim objął tam rządy O. Augustyn Siedlecki, szczery Unita aż do śmierci. Zastajemy go tam już w 1827 r. i był do końca istnienia tego klasztoru (może z przerwami). O. Augustyn przyszedł na świat około r. 1782, po roku 1809 otrzymał święcenia, następnie nauczał w różnych szkołach bazyliańskich, potem był wikarym ceperskim, leszczyńskim i byteńskim, skąd go powołano na superyora do Łyskowa; gdy się zaczęło prześladowanie Unii, to go wydalił Siemaszko stamtąd i wdrożył prześladowanie i męczenie. W r. 1840 internowano go w monasterze tryhórskim, tym karceresie dla wiernych unitów, ale i tam nie chciał się on zaprzeć jedności ze Stolicą Apostolską i wydać cyrografu na siebie; o jego apostazyi niema nigdzie wzmianki w pamiętnikach Siemaszki.

O ostatnich chwilach tego klasztoru znajdujemy wiadomości w notatkach ośmdziesięcio-letniego starca Litwina-Unity [1]). Tak sam o tem opowiada: „Roku 1835 mieszkałem w klasztorze bazyliańskim w miasteczku Łyskowie w powiecie wołkowyskim w gubernii grodzieńskiej, w obowiązku wikarego i kaznodziei. Tegoż roku skasowano ten klasztor, odebrano z dwoma folwarkami i całym majątkiem tak ruchomym jak i nieruchomym i oddano do użycia Michałowi Hołubowiczowi, wiceoficyałowi (wtenczas) konsystorza żyrowickiego. Mnie nakazano z konsystorza, abym opisał na

---

[1]) Notatki te drukowane w Przeglądzie Lwowskim w r. 1878 w tomie X.; autorem ich był O. Samuel Czarnorucki, który się urodził 1798 r. w Holszanach w Wileńskiem; na chrzcie dano mu imiona Szymona-Tadeusza-Ignacego, a chrzcił go miejscowy gwardyan Franciszkanów O. Chrapowicki; w r. 1825 wyświęcony na kapłana; odznaczał się on zawsze żarliwością katolicką i zato go Siemaszko męczył; w roku 1842 internowany w Poczajowie; stąd udało mu się w 1844 r. uciec do Galicyi i we Lwowie 26 listopada 1887 r. dokonał bogobojnego żywota. Cfr. „Przegląd poznański“, Poznań, styczeń.

dwie ręce inwentarz całego majątku, klasztor, bibliotekę, cerkiew, parafię, którą się także zajmowałem. Po napisaniu inwentarza i po oddaniu w posiadłość całego majątku Hołubowiczowi, powysyłano księży Bazylianów w tym klasztorze mieszkających do innych klasztorów: byłego superyora Augustyna Siedleckiego, X. Tomasza Kozłowskiego, X. Jerzego Rzeckiego i X. Teodora Chocewicza; mnie zaś, jako wiadomego o całym stanie klasztoru, folwarków i parafii, pomimo mojej niechęci, na prośbę Hołubowicza, zostawiono w tym klasztorze administratorem całego majątku, lecz z tym warunkiem przyjąłem ten obowiązek, że mi Hołubowicz przyrzekł dopomódz do przejścia (raczej powrócenia) na obrządek łaciński; za pomocnika dano mi Bazylianina Floryana Lisowskiego. Po ukończonym roku administracyi, gdy odmówiłem dania „podpiski" na prawosławie, Hołubowicz odmówił mi pomocy do przejścia na łaciński obrządek, wymawiając się, niby, że termin, wyznaczony przez Siemaszkę, już przeszedł. Za ukazem konsystorskim, wysłano mię na mieszkanie do klasztoru torokańskiego...".

Nie wszyscy jednak owi Bazylianie wytrwali. Nie mogąc wytrzymać mąk swoich, poddali się, jak twierdzi Siemaszko w pamiętnikach swoich: Kozłowski, Rzecki, Chocewicz, o Floryanie Lisowskim niema wzmianki.

Wyżej wspomniane Akta męczeńskie, mówią jeszcze o jednym w Łyskowie Bazylianinie — Bocewiczu, który miał śmiercią męczeńską umrzeć, pochowany ze czcią przez XX. Misyonarzy, ale z takiem nazwiskiem zakonnika nie spotykamy się nigdzie; ani Siemaszko, ani O. Czarnorucki o nim nie czynią wzmianki; owe Akta zaznaczają, że O. Czarnorucki miał go na śmierć dysponować. Jestto jakaś zagadka, której rozwiązać nie potrafimy!

Gdy Siemaszko kasował ten klasztor, posiadał on włók ziemi 40 i poddanych płci męskiej 49 [1]).

---

[1]) Pamiętniki Siemaszki, t. I., str. 461.

Jeszcze posiadamy wiadomości o tej siedzibie zakonnej niegdyś z pamiętnika X. Micewicza [2]). Zacny X. Micewicz, gorliwy Unita, zdegradowany był na djaka i w r. 1836 posłany do Łyskowa, gdzie de jure był parochem Hołubowicz, surogator już żyrowickiego konsystorza; ten mu wyznaczył sto złotych pensyi i ordynaryę, lecz i to go nie dochodziło, więc cierpiał wielką nędzę i był tam strasznie poniewierany za prawdę. Zabrał on był z sobą syna, którego umieścił w szkółce parafialnej (jaka tam istniała po skasowaniu powiatowej) XX. Misyonarzy i ci go przygarnęli ochoczo, świadcząc, co było można. Jak tylko Siemaszko się o tem dowiedział, kazał natychmiast przemocą zabrać owego synaczka od Misyonarzy i umieścić w uczelni djaczkowskiej w Żyrowicach. Stroskany ojciec musiał milczeć wobec tego gwałtu nowego. X. Micewicz do września 1839 r. zostawał w Łyskowie w charakterze djaka i powiada, że dotychczas modlono się tam jeszcze za Papieża, co go upoważniało do asystowania przy nabożeństwie. (C. d. n.)

Smora.

---

[1]) Pamiętnik X. Grzegorza Micewicza, wydany przez X. Wł. Chotkowskiego w Poznaniu. 1898, p. 42 et sqq.

KRONIKA.

Rzym. *Montecitorio.* — Obok gmachu włoskiej izby posłów, dawnej *Curia Innocentiana* czyli siedziby różnych urzędów Stolicy św. od czasów pap. Innocentego XII. wznosi się okazały kompleks zabudowań wraz z kościołem pod wezwaniem św. Trójcy, dotychczas centralny dom XX. Misyonarzy oraz rezydencya wizytatora prowincyi rzymskiej.

Powstał on w dzisiejszej formie w ciągu lat kilkudziesięciu pod koniec wieku XVII. i z początkiem XVIII., a początek swój zawdzięcza hojnej ofierze siostrzenicy kard. Richelieu, księżnej d'Aiguillon, która dnia 4 lipca 1642 r. ofiarowała na ten cel św. Wincentemu 30 tysięcy franków, z tym warunkiem, że XX. Misyonarze tam zamieszkali dawać będą misye ludowe w okolicach Rzymu, przyjmować u siebie kleryków na rekolekcye przed święceniami i spełniać inne obowiązki swego powołania, a nadto w przyszłości co roku odprawiać pewną liczbę mszy św. za spokój jej i wuja-kardynała duszy. Przyczyniły się do tego hojne ofiary papieży i dygnitarzy kościelnych, zwłaszcza kardynała Durazzo, dobroczyńcy także domu w Genui, który przybywszy w r. 1659 na stały pobyt do Rzymu zaraz począł robić starania o lepsze pomieszczenie dla XX. Misyonarzy. Pracowali oni w Rzymie już od r. 1638, w którym św. Wincenty wysłał tam księdza Le Breton, dla załatwienia różnych spraw Zgromadzenia u Stolicy św. oraz dla dawania misyi. Od roku zaś 1641 na mocy pozwolenia kardynała wikarego z 11 lipca tegoż roku był już utworzony dom XX. Misyonarzy według reguł; nie mieli oni wszakże

stałego mieszkania, przez lat 18 przenosili się z jednej dzielnicy Rzymu do drugiej. Kardynał Durazzo w tymsamym jeszcze roku 1659 uzyskał od kard. Bagny pałac na Montecitorio i oddał go Misyonarzom we wrześniu tegoż roku. Ten to pałac, przebudowywany i rozszerzany, z czasem doprowadzono do dzisiejszego stanu.

Odtąd pracowali w tym domu XX. Misyonarze, zasłużeni przedewszystkiem fundowanemi przez księżnę d'Aiguillon rekolekcyami dla ordynandów — z małą przerwą w roku 1799, w którym ich stamtąd nowy rząd t. zw. rzeczypospolitej Partenopejskiej wydalił, oraz w r. 1849, — aż do zaboru Rzymu. Nowy rząd włoski opublikował w r. 1873 w Rzymie dekret o kasacie zgromadzeń zakonnych, wydany dla Włoch w roku 1866 i zarządził konfiskatę dóbr. Nie pomagały zabiegi ambasadora francuskiego, który bronił tego domu jako fundacyi w znacznej mierze francuskiej. Po długich dopiero pertraktacyach uzyskał margr. de Noailles, ambasador francuski przy Kwirynale, że Misyonarzom pozostawiono kościół świętej Trójcy wraz z jednem skrzydłem zabudowań.

Przed paru laty wszakże zawiadomił rząd włoski Konfratrów, że za pewnem odszkodowaniem pieniężnem będą musieli ustąpić z reszty domu i z kościoła, z powodu zamierzonego rozszerzenia zabudowań parlamentu włoskiego.

Konfratrzy zwrócili się do Ojca św. Piusa X. z prośbą o inny kościół i dom. Prośbie tej mógł on zadość uczynić, gdyż miał właśnie do dyspozycyi kościół św. Apolinarego wraz z obszernemi zabudowaniami, w których mieściło się seminaryum duchowne dyecezyi rzymskiej, przeniesione obecnie do nowego gmachu przy bazylice św. Jana na Lateranie, oraz urzędy wikaryatu rzymskiego, dziś także już gdzieindziej pomieszczone.

Oddanie kościoła św. Apolinarego i przyległych budynków XX. Misyonarzom zarządził Ojciec św. dekretem świętej Kongregacyi Konsystorskiej z dnia 25 stycznia 1911, opublikowany w *Acta Apostolicae Sedis* dnia 1 marca 1913 r. (str. 60), tej treści, że „kościół św. Apolinarego, mający odtąd

tytuł: *Trinitati Augustae, in honorem S. Apollinaris E. M.*, oddaje się w zarząd dotychczasowemu rządcy kościoła świętej Trójcy, z zastrzeżeniem, żeby sam i jego prawni następcy spełniali wszelkie obowiązki, dotyczące obydwóch wspomnianych świątyń. W tym tedy celu, a zwłaszcza dla ułatwienia rekolekcyi dla ordynandów odstępuje się rzeczonemu rektorowi kościoła św. Trójcy kościół sw. Apolinarego oraz część budynku, zajętego dotąd przez seminaryum rzymskiei wikaryat. szkodowanie pieniężne za dom i kościół św. Trójcy ma wspomniany rektor oddać na rzecz budującego się nowego seminaryum przy bazylice na Lateranie.“ — (*Cfr. Annales* 1913, 3).

Persya. — Poprawa stosunków po prześladowaniu. — *List ks. Decroo do O. Generała Fiat z dnia 18. marca 1913. r.* — Cieszy mnie niezmiernie, że mogę dziś lepszych o naszej misyi udzielić wieści. Prześladowanie katolików już ustało i spokój i porządek panuje w Kosrowie. Ruch ku prawosławiu upadł. Pewien profesor i 12 wychowanków, którzy opuścili zeszłego roku katolicką szkołę, znowu do nas wrócili. W szkole rosyjskiej pozostaje więc obecnie zaledwie 3 chłopców i zdaje się tyleż dziewcząt. My zaś mamy około 100 wychowanków, a SS. Miłosierdzia prawie dwa razy tyle.

Nasi katolicy wystawieni byli wraz z nami przez trzy miesiące na najróżnorodniejszego rodzaju męczarnie, wyzwiska i groźby. Patryarcha chaldejsko-katolicki musiał uciekać, a rezydencyę biskupią zajął rosyjski agent konsularny wraz z popami i ich zakonnikami, aby z niej zrobić koszary dla pułku żołnierzy rosyjskich. Rosya zajęła całą północną część Persyi i w tej chwili właśnie zagraża wojna między Rosyą a Turcyą. Nasi Rosyanie ze Salmas gotują się z zapałem do walki. Po zabraniu przemocą mieszkania biskupiego katolickiego przemyśliwała partya rosyjska nad tem, jakby zabrać katolikom także chaldejsko-katolicki kościół.

Gdyby się Rosyanom udało przeprowadzenie tego planu, to byłoby już po katolicyzmie w Salmas. Chaldejczycy mieli

bowiem wielką cześć dla swej wspaniałej świątyni św. Jerzego, którą zbudowali około 80 lat temu. Poleciłem więc donieść rosyjskiemu agentowi konsularnemu, że gdyby próbowali zabrać nam kościół, przyjmiemy ich dobrze uzbrojeni, jesteśmy bowiem gotowi bronić naszego kościoła z narażeniem życia. Niechaj nikogo nie dziwi ta nasza rycerskość, tu na granicy Kurdystanu łatwo się człowiek robi wojowniczym, bo zawsze trzeba być gotowym do walki z jakimś wrogiem. Gdy Rosyanie spostrzegli, żeśmy tak na wszystko zdecydowani i do walki gotowi, nie śmieli nas zaczepić, a kościół św. Jerzego pozostał przy katolickich Chaldejczykach.

Co do mieszkania biskupa, postąpiłem sobie w inny sposób. Tu katolicyzm nie był tak zagrożony i trzeba powiedzieć, żeśmy zostali trochę zaskoczeni. Rosyanie chcieli mieć ten dom jako własność narodową. Ja wszakże przyjąłem uprzejmie oficerów rosyjskich i starałem się o jak najlepsze rozkwaterowanie ich żołnierzy. Równocześnie jednak wysłałem depeszę do biskupa, ks. Sontaga w Urmii, aby mi przysłał wszystkie dokumenta własności tego domu, a później powysyłałem depesze do konsulów i ministrów, ażeby zaprotestować przeciw pogwałceniu prawa własności tego domu, który podlega perskiej delegacyi apostolskiej.

Ks. biskup przysłał nam ks. Chatelet z potrzebnemi papierami. Z tym konfratrem udałem się mimo ostrego, śnieżystego stanu powietrza do Koi, aby założyć protest u konsula rosyjskiego przeciw zabraniu naszej własności. Postaraliśmy się o złożenie z urzędu rosyjskiego agenta konsularnego, który okazał się nam tak wrogim w tej całej sprawie. Jest to były seminarzysta i współuczeń ks. Miraziz, a teraz jest śmiertelnym wrogiem biskupa chaldejskiego. Zaraz po swym przyjeździe do Kosrowy starałem się o przejednanie tego człowieka, ale to nie na długo starczyło i prześladowania katolików rozpoczęły się z większą jeszcze zaciekłością niż poprzednio.

W tymże czasie przyszedł rozkaz do wojsk rosyjskich z Teheranu, by opuściły rezydencyę biskupią. Nie dopuściłem

jednakże do tego, powołując się na układy między Rosyą a Francyą. Zgodzili się więc na to oficerowie rosyjscy, ażebym przyjął część żołnierzy do zabudowań francuskiej misyi, bo biskup Mar Petrus miał niebawem wrócić z Urmii. Odtąd ci nasi najzaciętsi wrogowie stali się naszymi przyjaciółmi. Pułkownik powiedział mi, że go przysłano dla obrony biednych, prześladowanych prawosławnych. Nie trudno mu było przekonać się, że właśnie miała się rzecz przeciwnie.

Wczoraj odbywał generał rosyjski w Kosrowie pobieżną inspekcyę; zabawił i u nas dłuższą chwilę i dziękował nam za wszystko, cośmy zrobili dla jego żołnierzy.

Ks. Chatelet pozostał u nas nieco dłużej, aby uporządkować inne jeszcze sprawy, przyczem jego znajomość perskich stosunków była nam bardzo na rękę.

Prócz tego mieliśmy nawał innych zajęć: w seminaryum, u Sióstr, u Dzieci Maryi i w kościele. Mam zatem z swymi konfratrami, XX. Clarys i Miraziz, dużo pracy.

Chiny. — Jak się dowiadujemy z listu ks Planchet z Pekinu, z dnia 24. kwietnia 1913. r. (Cfr. *Annales* 1913, 3), rząd nowej republiki jest stale życzliwie usposobiony dla katolicyzmu. Konstytucya rzeczypospolitej zapewnia wszystkim swobodę wyznania. Wyznawanie katolickiej religii nie wyklucza już dzisiaj nikogo od urzędów państwowych, do tego stopnia, że pierwszym ministrem spraw zagranicznych nowego rządu został katolik, Lucengciang, nawrócony w roku 1911. Z powodu tej swobody religijnej mnóstwo bogatszych Chińczyków garnie się do Kościoła. Obfitsze jest wszakże żniwo ewangeliczne wśród warstw ubogich, zwłaszcza z powodu obecnej klęski głodowej w wielu prowincyach chińskich. W przeszłym roku sam wikaryat pekiński liczył 35 tysięcy katechumenów. Gdyby środki materyalne naszych misyj były obfitsze, a liczba robotników ewangelicznych większa, liczba ta, już i tak dosyć znaczna, mogłaby się podwoić.

Jak wielki przewrót nastał w wiekowych przekonaniach religijnych u Chińczyków, świadczy to, że na życzenie nowego rządu odprawiono we wszystkich kościołach katedral-

nych naszych wikaryatów apostolskich w dniu 21. kwietnia 1913. r. publiczne modły o pomyślność dla państwa, o błogosławieństwo Boże dla prac parlamentu i szczęśliwy wybór prezydenta rzeczypospolitej. W Pekinie wziął w tem nabożeństwie udział sam minister spraw zagranicznych, oraz w imieniu prezydenta republiki sekretarz jego.

W dystrykcie Wenczeu w wikaryacie apostolskim wschodniego Czekiangu, najbardziej dotkniętym klęską głodową z powodu zniszczenia, zrządzonego przez cyklon z końcem sierpnia poprzedniego roku, oraz olbrzymie powodzie, akcyą ratunkową zajmują się gorliwie księża Aroud, Salon i Boisard. Z daru O. Generała, z zapomogi, przysłanej przez Matkę generalną, oraz z kwesty ks. biskupa Reynaud, uzbierało się 50 tysięcy franków, lecz i to nawet za mało jest na poratowanie trzech parafii tego dystryktu, Wenczeu, Czuczeu i Pingjang. Że jednak ze strony chińskiego społeczeństwa zabrano się do akcyi ratunkowej, a XX. Misyonarzy zaproszono do pomocy w rozdawaniu zapomóg, mogli konfratrzy nieść ulgę najbardziej opuszczonym, a przez to pozyskiwać sobie coraz więcej serca tych biedaków. Skutkiem tego kaplice tych trzech gmin chrześcijańskich zapełniają się coraz to liczniejszymi tłumami katechumenów, a tysiące pogan uczą się katechizmu. Katechiści muszą pracować z ogromnym nakładem sił. To też owoce zbawienne będą z pewnością obfite.

Nowy wikaryusz apostolski we wschodniem Kiangsi, ks. biskup Clerc-Renaud, zaczął w kilka dni po otrzymaniu sakry, 5. listopada 1912. r., zwiedzać swój obszerny wikaryat. W gminie chrześcijańskiej Lienczeu zgotowano mu tryumfalne przyjęcie. Z tej bowiem miejscowości musiał ks. Clerc-Renaud przed laty trzynasty (1900) uciekać pokryjomu. Dawny dom, w którym mieszkał w r. 1838. błog. Jan Gabryel, spalili Bokserzy. Dziś wznosi się na tem miejscu obszerna rezydencya misyjna; parafia jest doskonale urządzona, jest szkoła dla chłopców i dziewcząt oraz sierociniec. Równie szczęśliwe wyniki zauważył biskup wszędzie po drodze. W ciągu ostatnich lat dziesięciu stanęło w tym wikaryacie

8 wielkich kościołów oraz 16 rezydencyj misyjnych, z których promieniuje światło Ewangelii na wszystkie strony; powstało nowych 8 podprefektur apostolskich, każda z jednym kapłanem; założono małe seminaryum, liczące obecnie 70 wychowanków, a w dniu 19. marca 1913. r. otwarto seminaryum duchowne, w którem było w kwietniu 4 subdyakonów i 7 kleryków na I. roku teologii.

Wynik pracy misyonarskiej jest pocieszający. Z końcem roku 1912 liczono 22.517 chrztów, podczas gdy w r. 1900. było ich tylko 14 tysięcy. Różnica ta tłómaczy się tem, że i liczba Misyonarzy się znacznie powiększyła. Cały wikaryat liczy obecnie 24 rezydencye z 33 kapłanami, Europejczykami lub krajowcami. To też nie tracą oni czasu na dalekie podróże misyjne, gdyż mają wydzielone pole pracy na mniej więcej 20 mil w promieniu.

List swój do O. Generała z dnia 12. kwietnia 1913. r., z którego te szczegóły są wyjęte, kończy ks. biskup Clerc-Renaud gorącą prośbą o przysłanie większej liczby Misyonarzy.

Madagaskar — był dotychczas podzielony na trzy wikaryaty apostolskie, północny pod opieką duchowną Zgromadzenia Ducha św., środkowy OO. Jezuitów, południowy XX. Misyonarzy. Dnia 10. marca 1913. r. podzieliła Propaganda środkowy wikaryat na dwa wikaryaty apostolskie i jedną prefekturę apostolską, a nadto postanowiła, że odtąd te wikaryaty i prefektura nosić będą nazwę od swego miasta centralnego, w którym rezyduje odnośny zwierzchnik kościelny. Odtąd przeto pod względem kościelnym jest następujący podział: 1) wikaryat apostolski Diego Suarez pod zarządem Zgromadzenia Ducha św.; 2) wikaryat apostolski Tananariva pod kierownictwem OO. Jezuitów; 3) wikaryat apostolski Fianarantsoa pod opieką OO. Jezuitów; 4) wikaryat apostolski Fort Dauphin oddany XX. Misyonarzom św. Wincentego a Paulo; 5) prefektura apostolska Betafo powierzona Misyonarzom „de la Salette“.

†

Ś. p. ks. Józef d'Isengard.

(Cfr. *Ephemerides Liturgicae* z 15/XI. 1913).

Dnia 9 sierpnia 1913. roku umarł w Rzymie ks. Józef d'Isengard, prokurator generalny Zgromadzenia przy Stolicy św., konsultor św. Kongregacyi Obrzędów i kierownik rzymskiej Akademii liturgicznej.

Ks. d'Isengard urodził się dnia 25 września 1844 roku w Spezii, dyecezyi Luni-Sarzana, w północnych Włoszech. Po rodzicach, Teodorze bar. d'Isengard i Joannie Franciszce z margrabiów Federici, odziedziczył szczerą pobożność i zamiłowanie w rzeczach Bożych, które w nim jaśniało przez całe życie. Obdarzony bystrym umysłem, od wczesnej młodości czuł pociąg do nauki. Początkowe i średnie wykształcenie pobierał w kolegium XX. Misyonarzy w Sarzana. Idąc za głosem powołania, wstąpił do seminaryum Zgromadzenia w Turynie. Za radą jednak przełożonych nie złożył ślubów świętych i powrócił do rodziny, nie porzucając wszakże myśli o stanie duchownym.

W roku 1867. otrzymał święcenia kapłańskie i za wolą biskupa objął urząd profesora w seminaryum duchownem w Sarzana. Później uczył w liceum w rodzinnem mieście. Po kilku latach udał się do Turynu i ponowił prośbę o przyjęcie do Zgromadzenia. Jako Misyonarz wysłany został na

profesora do kolegium Zgromadzenia w Sarzana, uzyskawszy wprzód wymagane przez rząd stopnie akademickie we Florencyi.

Poświęcając się z zapałem i gorliwością pełnieniu swych obowiązków nauczycielskich, nie uchylał się wszelako od innych posług, wymaganych czy przez własne Zgromadzenie, czy przez biskupa z Sarzana; był egzaminatorem duchowieństwa, katechetą, kaznodzieją, a nawet przez pewien czas administratorem sąsiedniej parafii Cerri. Kilkakrotnie dawał rekolekcye duchownym w różnych dyecezyach włoskich.

Wezwany do Turynu, na profesora teologii w domu centralnym Zgromadzenia, wykładał zarazem, na życzenie kard. Richelmy, katechetykę w archidyecezalnem seminaryum, a później nawet został egzaminatorem prosynodalnym.

W r. 1908. powołał go O. Generał Fiat na stanowisko prokuratora generalnego Zgromadzenia przy Stolicy św., na którem niejednokrotnie odznaczył się bystrością umysłu, obszerną wiedzą, a zwłaszcza wielką zręcznością w załatwianiu spraw Zgromadzenia, tak u Ojca św. jakoteż w różnych Kongregacyach rzymskich.

Ze szczególniejszem zamiłowaniem oddawał się zawsze studyom katechetycznym. Wydał kilka książek i rozpraw z tego zakresu. Czasopismo katechetyczne *Il Catechista Cattolico,* założone w r. 1876. w Piacenzy, a po trzydziestu latach istnienia chylące się do upadku, zabiegami swymi podtrzymał, a nawet na nowo zorganizował to wydawnictwo w Turynie i kierował niem aż do zgonu. Czynny brał udział w zjazdach katechetycznych, urządzanych staraniem biskupów w Bergamo, w Medyolanie, w Pistoji, w Pizie i w innych miastach włoskich, a w swych gruntownie obmyślanych i przygotowanych przemówieniach zmierzał przedewszystkiem do tego, aby dbano o dobrych katechetów dla szkół, zwłaszcza po wsiach.

Z zapałem także oddawał się liturgice. To też gdy długoletni kierownik akademii liturgicznej, mającej siedzibę w domu XX. Misyonarzy w Rzymie, ks. Chalcedoniusz Mancini, umarł

w sierpniu roku 1910., ks. d'Isengard został jego następcą. Wkrótce potem mianowano go także konsultorem św. Kongregacyi Obrzędów.

W r. 1911. powołał go Ojciec św. Pius X. do komisyi, świeżo ustanowionej dla reformy Brewiarza, oraz do komisyi, zajętej nowem wydaniem katechizmu dla młodzieży. W nagrodę za gorliwą i wydatną pracę w obydwu uzyskał dwa złote medale.

Oddawna jednak nurtująca w organizmie jego choroba zwapnienia żył zaczęła coraz groźniejsze przybierać rozmiary. Przyszedłszy nieco do sił, odwiedził jeszcze w czerwcu ubiegłego roku swych konfratrów we Florencyi, Piacenzy, Turynie i Genui, oraz krewnych w Spezii, a nawet brał udział w zjeździe katechetycznym w Piacenzy. Była to wszakże chwilowa tylko ulga. Po powrocie do Rzymu już tylko kilka dni zdołał mieć mszę św., którą od pół roku za nadzwyczajnym induktem Ojca św. odprawiał siedząc. Choroba wzmogła się nagle i przerwała pasmo dni ks. d'Isengare dnia 9. sierpnia w 69. roku życia.

W nabożeństwie żałobnem w kościele św. Trójcy na Monte Citorio wzięło udział kilku biskupów, wielu prałatów i konsultów św. Kongregacyi Obrzędów oraz prokuratorów wielu Zgromadzeń zakonnych, a nadto nieprzejrzany zastęp SS. Miłosierdzia.

Ks. Wizytator prowincyi rzymskiej otrzymał mnóstwo listów kondolencyjnych od znakomitych dostojników kościelnych, od wielu kardynałów, a zwłaszcza od kard. de Lai, Gennari i Pompili, od biskupów i prałatów, oraz od wielu Przełożonych zakonnych. Najmilsze dla wszystkich było pismo ks. prałata Bressan, który wyrażał współczucie w imieniu Ojca św. i oświadczył, że Najwyższy Pasterz w zgonie księdza d'Isengard opłakuje nie tylko stratę Zgromadzenia XX. Misyonarzy, ale całego Kościoła.

Ś. p. Siostra Marya Omankowska.

Dnia 16 stycznia 1913 r. poniósł Dom chełmiński bolesną stratę przez śmierć S. Omankowskiej. Po przeczytaniu żałobnego zawiadomienia, Siostry nawzajem się pytały: „Czyż podobna, żeby Siostra Wincenta umarła? — to imię bowiem nosiła S. Omankowska w Zgromadzeniu. — Nic nie zapowiadało tak blizkiego końca. Dopiero co widziałyśmy ją na rekolekcyach w Domu Centralnym, czynną jak zawsze, grzeczną i usłużną, na posterunku od 4. rano do 9. wieczorem. Prawda, że od wielu lat była cierpiącą. ale mimo to wesoła, ożywiona, nigdy się wyręczyć nie pozwoliła. Umarła z bronią w ręku, bo zaledwie przez dwa tygododnie była w infirmeryi. Wielka to strata dla nas i nie łatwo przyjdzie ją zastąpić!“.

Ś. p. S. Maryanna Omankowska urodziła się w Chełmnie, z rodziców zacnych i pobożnych; odebrała bardzo religijne wychowanie, a kształciła się w wyższej szkole pod dyrekcyą naszych Sióstr. Miłość Boga i bliźniego odziedziczyła po swej bogobojnej matce, która i jednego dnia nie opuściła, aby nie wysłuchać mszy św., za co pewnie w nagrodę udzielił jej Bóg tę łaskę, że w dniu śmierci jeszcze uczestniczyła w Najśw. Ofierze, a po powrocie do domu spokojnie umarła.

Ś. p. S. Maryanna już w młodości odznaczała się zamiłowaniem cnót naszego św. powołania. Jako młoda panienka pracowała po zdaniu egzaminu w charakterze nauczycielki przy wyższym pensyonacie utrzymywanym przez SS. Miłosierdzia w Chełmnie. Musiała nieraz praktykować ubóstwo przy zdwojonej pracy, to przecież nietylko jej nie zniechęciło, ale przeciwnie, zwiększyło pragnienie poświęcenia się Bogu i Zgromadzeniu. Po odbytej próbie postulantki, wyjechała do Seminaryum w Paryżu 1868 r., z bardzo dobrą notą, w której nacisk położono na gruntowną pobożność, posłuszeństwo, uległość i pracowitość.

Po wzięciu sukni, pracowała krótki czas przy sierotach w Wolsztynie, następnie w Malborgu i w Lubawie, gdzie z równem poświęceniem i niezwykłą umiejętnością oddawała się wychowaniu i kształceniu sierót i młodych panienek. Stamtąd odwołano ją, aby jej powierzyć klasę przy wspomnianej wyżej szkole dla panien w Chełmnie. Równocześnie objęła dyrekcyę muzyki i śpiewu kościelnego, który to urząd z wielką gorliwością, zamiłowaniem i poświęceniem spełniała przez długie lata. Jak to zwykle bywa, różne zachodziły tam trudności, tem więcej, że chór zawsze bywał liczny i trzeba było, obok energii, niezwykłej cierpliwości i wyrozumiałości, aby utrzymać harmonię dźwięku i serc. To też śpiewaczki uwielbiały swą mistrzynię.

Przez tyleż lat prawie zajmowała się Stowarzyszeniem Dzieci Maryi, założonem w Chełmnie przez N. O. Étienne, podczas wizytacyi prowincyi. Sama należała do pierwszych członków Stowarzyszenia. Zastępy młodych dziewcząt uczyła kochać Boga i Maryę Niepokalaną; trudno wypowiedzieć, ile pracy, ofiar i trudów podejmowała dla chwały naszej Matki Niepokalanej i dla dobra tych młodocianych dusz! Bardzo była przemyślną w urządzaniu niewinnych rozrywek, mających na celu pociągnięcie nowych duszyczek pod sztandar Królowej Niebios; miłość jej i poświęcenie dla Dzieci Maryi graniczyły z heroizmem.

W ostatnich latach życia, choć bardzo już była cierpiącą, tąsamą odznaczała się gorliwością, a umartwienie jej pod każdym względem może nam służyć za wzór. Siostra posługująca w refektarzu, świadczy, że „zawsze się budowała kochaną zmarłą. Wiek i siły stargane wymagały czasem jakiegoś dodatku; nie przyjmowała go jednakże nigdy, poprzestając na zwykłym posiłku. Częste wieczorne zebrania Dzieci Maryi, na których Siostra Omankowska bywała obecną, sprawiały, że często zimną spożywała kolacyę. Gdym raz pospieszyła do kuchni, by jej przynieść coś ciepłego, a było to zimą, dziękowała serdecznie, mówiąc: „Ach, dla mnie, Siostrzyczko, nie warto się trudzić — i zimna kolacya dla

mnie dobra". Przypomniał mi się święty nasz Ojciec, który także później przybywając do refektarza, poprzestał na pozostałych resztkach. „A poco tam Siostra tak długo siedzi, dodałam, puścić prędzej do domu". „Ach, Siostro, odpowiedziała na to, toć to moja jedyna pociecha na ziemi i chętnie resztę życia dla nich poświęcę". Dzieci Maryi odczuwały tę miłość bez granic i wzajemną miłością się odpłacały. Wiele z tych dusz poświęciło się na wyłączną służbę Bożą, bądź w naszem, bądź w innem Zgromadzeniu.

Nasze młodsze Siostrzyczki po części kształciły się pod kierunkiem Siostry Wincenty bądź to w aspiracie, bądź pobierając prywatne lekcye; przesłały nam wiele pięknych uwag o swej mistrzyni. Przytoczymy niektóre.

„Jeszcze w świecie będąc, pisze jedna, poznałam kochaną Siostrę Wincentę, która się zajmowała Stowarzyszeniem Dzieci Maryi; i ja prosiłam ją o przyjęcie do tegoż Stowarzyszenia. Będąc czas jakiś Dzieckiem Maryi, miałam sposobność przypatrzeć się z blizka osobom Bogu poświęconym, ku którym czułam od dawna pociąg. I tak śledząc tę kochaną Siostrę, zachwycałam się całem jej postępowaniem z tak licznem Stowarzyszeniem, które liczyło podówczas członków około 400. Szczególnie mnie uderzała jej pokora i skromność. Kiedy po zebraniu Dzieci Maryi kilka starszych pozostało, by jeszcze nieco porozmawiać z Siostrą, którą tak bardzo kochały i szanowały, ona czyniła na nas wrażenie anioła, nie należącego już do tej ziemi. Umiała, kiedy tego była potrzeba, naprowadzić na rozmowę budującą, i to takim sposobem, że się tego nawet nie spostrzegło. Mówiłam sobie nieraz: Siostry Miłosierdzia są to istoty nadziemskie. Pomiędzy sobą mówiłyśmy; To nasza matka duchowna. Później w Zgromadzeniu mieszkałam z tą kochaną Siostrą kilka lat w jednym domu, przypatrywałam się jej jako dawnej znajomej i tak jak dawniej mnie budowała i pociągała swoim dobrym przykładem, tak też i teraz na drodze daleko trudniejszej, bo na drodze cnót, składających ducha powołania naszego i zaparcia się siebie, była dla mnie

wzorem prawdziwym. Zauważyłam także, że kiedy mówiono o kim niekorzystnie, ona, o ile mogła, uniewinniała tę osobę, a kiedy nie mogła jej uniewinnić, ze smutkiem ubolewała nad tem, co mówiono".

Inne Siostry piszą, że budowały się zawsze wiernością kochanej Siostry Wincenty co do wstawania o godz. 4-tej. Od wielu lat choroba płuc i męczący kaszel nie dawał jej wytchnienia prawie przez całą noc, a wiem z doświadczenia, że zwykle nad ranem zmęczony organizm chętnie poddaje się spoczynkowi; Siostry Wincenty nigdy nie brakło na rannym pacierzu, czy to latem, czy wśród najostrzejszej zimy.

Oprócz aspirantek kształciła Siostra Wincenta wiele panienek z okolicy, które razem z pierwszemi budowały się wielką jej gorliwością i pamięcią na obecność Boską. Gdy zegar uderzył w tej chwili wstawała i wołała: „Niech żyje Jezus", choćby i najpilniejsze miała zajęcie; wszystko odkładała, aby odmówić akt obecności Boskiej. — Dziwnie umiała utrzymać harmonię pomiędzy panienkami. Różne trafiają się charaktery i usposobienia. Osoby, które pracowały w tym kierunku, najlepiej potrafią ocenić tę jej zaletę. Wypływała ona głównie z miłości Boga i bliźniego. „Wszystko dla Boga, dla miłości Jezusa i Maryi!" — to było jej hasło. I nie dziw, że pod takim wpływem niejeden charakter odnosił nad sobą zwycięstwo.

Zawsze jednostajnego była humoru; zawsze równie dobrą i wyrozumiałą dla wszystkich bez różnicy. Chociaż może czuła nieco więcej ciepła dla jednej jak dla drugiej, bo i Pan Jezus więcej okazywał czułości św. Janowi niż innym, — ale żadna z panien tego nie spostrzegła, nie odczuwała. W rozmowie unikała obmowy, a gdy której wymknęło się słówko przeciwne miłości, odrazu zmieniała temat, i to bardzo zręcznie. Miłość Boga i bliźniego, oto cel jej pracowitego i pełnego poświęcenia życia! Bardzo uzdolniona i zręczna, a przytem pokorna i skromna, nie lubiła pochwał „Oby tylko Bóg miał chwałę i Marya, więcej nie pragnę", mawiała. — Gdy przemawiała do Dzieci Maryi, to słowa jej

zdawały się iskrami przenikającemi do głębi serca, aby je rozpalić miłością ku Jezusowi i Maryi.

Jak miłe pozostawiła wrażenie w sercach swych wychowanek i ich rodziców, może poświadczyć wyjątek z listu ojca jednej z panienek, który nadszedł prawie w chwili konania tej drogiej Siostry. Tak pisze: „Nie mogę niczem wywdzięczyć się dobrej Siostrze Wincencie za troskliwą opiekę nad moją córką, bo nic nie posiadam; wszystko, co podemną i nademną się znajduje, jest własnością Boga. Ale mogę Jej życzyć czegoś i czynię to z całego serca, — życzę pokoju sumienia i aby ta dobra Siostra przez wieczność całą wpatrywała się w najświętsze Oblicza Jezusa i Maryi, i aby jej serce spoczęło na zawsze w Najsłodszem Sercu Jezusa". — Już konającej odczytała jedna z Sióstr te słowa, które też za chwilę spełnić się miały.

Gdy która z panienek zachorowała, S. Wincenta, nie mając infirmeryi, musiała chorą powierzyć opiece Siostry od chorych. Wtenczas to, choć słaba, zmęczona, przychodziła odwiedzać swoją wychowankę, zawsze ze słowem pociechy i małej pieszczoty, bo zastępowała matkę tym dzieciom. One też bardzo to ceniły.

Święte powołanie i Zgromadzenie kochała całą duszą, czego dowodem wielka wierność Regułom św. i zwyczajom Zgromadzenia. W chwilach ciężkich i bolesnych, jakie Zgromadzenie przechodziło w naszej prowincyi, była zawsze gotową na wszystkie ofiary i usługi, na jakie tylko zdobyć się może serce szlachetne i kochające.

Dla przełożonych była zawsze z wielką czcią i miłością; życzenie ich było dla niej wolą Boga. Pragnęła osłodzić im życie, pełne troski i kłopotów, bądź to przez osobiste poświęcenie, bądź przez zabiegliwość, któraby im ulgę przynieść mogła. Czasem chciała coś zrobić tak podług swej myśli, ale skoro tylko S. Wizytatorka wolę swa objawiła, ulegała w tej chwili jak dziecko. „Zrobimy wszystko, wszystko, byle Najczc. S. Wizytatorka kłopotu nie miała", oto słowa nieboszczki, które w podobnych okolicznościach zawsze powta-

rzała. Najszczęśliwszą była, gdy mogła się przysłużyć w czemkolwiek Przełożonym, a i Siostry zachęcała do miłości dla nich i do modlitwy na ich intencyę, „bo dużą mają troskę o nas i wiele kłopotów“, mawiała.

Bardzo umartwiona dla siebie, nigdy nie miała żadnych wymagań ani nie żądała wypoczynku, lecz dla drugich była bardzo troskliwą i uważną.

Śmierć echem jest życia, — tak też było z kochaną Siostrą Wincentą; cicho pracując dla Boga i Zgromadzenia, cichutko opuściła tę ziemię, aby wrócić do Boga po długich, a z poddaniem znoszonych cierpieniach.

Pogrzeb jej był istnym tryumfem; — prawie wszyscy mieszkańcy miasta i okolicy, którzy ją znali i szanowali, zastępy Dzieci Maryi, Stow. Anioła Stróża i inne wzięły udział w żałobnym obrzędzie, chcąc tem samem okazać wdzięczność za uczynność i miłość nieboszczki dla ogółu. — Czcig. Ks. Kapelan w pięknej nauce, którą miał do Dzieci Maryi w przededniu pogrzebu, żywo przedstawił cnoty, które cherakteryzowały ś. p. S. Wincentę, zachęcając całe Stowarzyszenie do naśladowania jej. Przed spuszczeniem zwłok do grobowca, dzieci Maryi bardzo pięknie odśpiewały na głosy *De profundis*, a załzawione serca obecnych do głębi były tem przeniknione.

Zgasło to życie, podobne do płonącej lampy, podsycanej oliwą gorliwości, zgasło odrazu, pod tchnieniem woli Bożej, aby na nowo zapłonąć promiennem światłem nagrody, jaką Pan daje pracującym we winnicy Jego.

R. i. p.

Zmarli Misyonarze:

Ks. Feliks Allard, we wrześniu w Bahii (Brazylia), żył lat 62, w Zgromadzeniu 41.

Ks. Franciszek Nicolaux, 30 września w Panningen (Holandya), żył lat 78, w Zgromadzeniu 58.

Ks. Karol Demiautte, 24 września w Anturze (Syrya), żył lat 73, w Zgromadzeniu 52.

Ks. Józef Lollok, 13 października w Budapeszcie, żył lat 88, w Zgromadzeniu 23.

Ks. Edward Quinn, 13 października w Germantown pod Filadelfią, żył lat 50, w Zgromadzeniu 28.

Ks. Józef Dorme, 29 października w Pernambuco (Brazylia), żył lat 68, w Zgromadzeniu 45.

Br. Mikołaj Barron, 1 listopada w St. Louis, żył lat 58, w Zgromadzeniu 35.

Br. Joachim Fernandez, 2 listopada w Orense (Hiszpania), żył lat 73, w Zgromadzeniu 38.

Ks. Jerzy Foussemagne, 7 listopada w Paryżu, żył lat 54, w Zgromadzeniu 29.

Kler. Klaudyusz Audoin, 28 listopada w Dax, żył lat 25, w Zgromadzeniu 5.

Ks. Edward Vallé, 2 grudnia w Konstantynopolu, żył lat 60, w Zgromadzeniu 14.

Ks. Maurycy Philippe, 5 grudnia w Lizbonie, żył lat 29, w Zgromadzeniu 10.

R. I. P.

Pro memoria.

Confratres nostrae provinciae quoad SS. Confessiones in aliis dioecesibus excipiendas, ea, quae sequuntur, attendant:

In dioecesi Cracoviensi, vi rescripti die 18 Decembris 1912 N. 8997, ad quinque annos dati, potest R. A. D. Visitator necnon RR. DD. Superiores domorum Confratribus ex aliis dioecesibus venientibus facultatem SS. Confessiones excipiendi concedere. In casu tamen longioris commorationis debent Confratres infra mensem prorogationem dictae facultatis ab Ordinariatu sibi procurare.

In dioecesi Tarnoviensi omnes sacerdotes nostri, de mandato vel licentia R. A. D. Visitatoris sive Confratribus sive sacerdotibus saecularibus iuvamen ferentes, gaudent iurisdictione ad excipiendas Confessiones quorumcumque fidelium, etiam quoad casus reservatos (dat. die 10. I. 1908).

In dioecesi Premisliensi omnibus nostris sacerdotibus, qui de mandato vel licentia Superiorum illuc perrexerint, concessa est iurisdictio ad excipiendas fidelium Confessiones, cum facultate absolvendi a casibus reservatis, die 15 Novembris 1911, ad triennium.

Intra fines archidioeceseos Leopoliensis pollent iurisdictione omnes nostri presbyteri: a) qui ad iuvamen ferendum a Superioribus ad tempus illuc mittuntur; b) qui ad tempus cum Superiorum licentia in praefata archidioecesi commorando, ut SS. Confessiones excipiant, rogantur; c) qui domibus Congregationis in dicta archidioecesi applicantur, donec facultates respectivas ab Ordinariatu in scriptis obtineant. — *NB.* Potestas absolvendi a casibus reservatis singulis concedetur Confratribus, pro quibus a R. A. D. Visitatore postulabitur (22. XI. 1911).

In dioecesi Wratislaviensi iurisdictio ad excipiendas Confessiones Sororum Caritatis concessa est nostris Confratribus, usque ad revocationem, rescripto de die 27 Decembris 1905. Quae facultas per litteras Eminentissimi Principis Episcopi, datas die 4 Decembris 1911, extenditur ad audiendas etiam fidelium, tum domesticorum Sororum tum aliorum pie petentium, Confessiones, quando Confratres ad Sororum excipiendas Confessiones ibidem morantur, dummodo parochi iure non contradicant.

In archidioecesi Posnaniensi, rescripto dato die 13. XII. 1912, ad quinque annos (1. I. 1913 — 1. I. 1918) iurisdictio pro excipiendis SS. Confessionibus una cum facultate absolvendi a casibus reservatis concessa est illis tantum Confratribus, qui ad ministerium spirituale exercendum illuc pergunt. Aliis vero, qui sive recreationis sive privatorum negotiorum causa illuc fortasse aliquando proficiscentur, expetenda est expresse facultas SS. Confessiones audiendi (necnon missam celebrandi).

In archidioecesi Gnesnensi omnes Confratres, qui de mandato vel consensu Superiorum ibidem degunt, iurisdictione ad audiendas confessiones omnium fidelium, etiam quoad casus reservatos, gaudent (dat. die 16. XI. 1811, ad quinque annos).

In dioecesi Culmensi concessa est facultas excipiendi Confessiones quorumcumque fidelium una cum facultate absolvendi a casibus reservatis omnibus provinciae nostrae sacerdotibus, de licentia vel mandato R. A. D. Visitatoris dictam dioecesim petentibus, ad dies officii R. A. D. Słomiński, Visitatoris (dat. die 13. I. 1908).

In dioecesi Warmiensi ab Illmo ac Rmo loci Ordinario (vivae vocis oraculo) concessa est iurisdictio omnibus Confratribus, ad tempus indefinitum.
